



N O W E L L E.



ZYGMUNT SARNECKI.



NOWELLE.



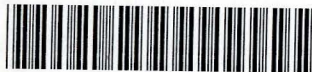
STASIA.— DRUGIE DZIECKO.— WRÓBLE.
POWIEM MAMIE. — NASTKA. — SIELANKA.



WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI G. CENTNERSZWERA.
ulica Marszałkowska Nr. 147.
1888.

Zbiory specjalne

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0119980



Дополнено Цензурою.
Варшава 4 Мая 1888.

89 690



STASIA.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

U-46/78/89680

Panna Marcelina nie była już świeżą i młodą, kiedy wyszła za mąż za hrabiego Jana.

W małżeństwie zawartem rozważnie i rozsądnie, niby dobrze spisany kontrakt na sprzedaż okowity lub pszenicy, nie chodziło o świeżość i młodość, a tem mniej o miłość, bo hrabia Jan nażył się dowoli, nawet naszalał kiedyś, teraz zaś pragnął tylko odzyskać roztrwoniony majątek, a o romansach, zwłaszcza z żoną, nie myślał wcale. Do urzeczywistnienia praktycznych zamiarów, potrzebował posagu i spokoju. Panna Marcelina dostarczyła pierwszego, a wychowaniem i charakterem zapewniała drugi.

Bogate i przekwitające panny zwykle bywają cierpkie, jak owoce przedwcześnie zerwane, dojrzewające bez słońca w piwnicy. Tymczasem panna Marcelina cierpką nie była. Jej dobry humor i swobodę umysłu chwalono powszechnie.

Dlaczego wyszła za hrabiego Jana, tego długo nie umiano sobie wytłómaczyć, nawet w najbliż-

szem otoczeniu. Chociaż metryka jej wykazywała trzydziestkę, uchodziła dość słusznie za piękną. Nadto sierota, sama jedna na świecie, miała milion złotych polskich posagu w gotowiznie i dobre (nawet bardzo dobre) szlacheckie nazwisko, stokroć lepsze od nazwiska narzeczonego.

Pan Jan niemłody, łysy, zwiędły, brzydki, niemal zrujnowany, nader problematycznym pochodzeniem szczyć się nie miał prawa. Ani z soli, ani z roli, lecz z półkwatka urosłi jego protoplaści. Wprawdzie dziewięcioperłowa korona ozłociła niską proveniencję, ale wszyscy wiedzieli, że ojciec hrabiego kupił ów klejnot wówczas, kiedy można go było nabyć po cenie niższej.

Jednakże dla tego klejnotu głównie wyszła panna Marcelina za hrabiego Jana, bo uroiła sobie, że jest stworzoną na fundatorkę rodu... i mniemała, że dziewięcioperłowa korona, mniejsza o to, kupiona czy dziedziczna, musi złotem swoim uszlachetnić świeży hełm herbowy jej przysłego potomstwa.

— Mieć syna — myślała w duchu — to szczęście prawdziwe, ale o ileż będzie większe, jeśli syn urodzi się hrabią. W naszych czasach nikt o kasztelanów i wojewodów nie pyta, a tytuł sam narzuca się uszom i budzi uszanowanie.

Panna niemłoda, znudzona samotnością i brakiem rodziny, dawała za nadzieje arystokratyczno-familijnych radości swoje dobre szlachectwo, konterfekta wąsatych antenatów, milionowe wiano, wyprawę niemal księżącą, a i niej przepyszne, misterne, starożytne srebra stołowe, włoskiej roboty.

Wprawdzie mogła tem wszystkim uszczęśliwić jakiego młodego człowieka, któryby ją szczerze pokochał i serce jej przy swoim rozgrzał, lecz w świecie, w którym panna Marcelina wychowała się i wzrosła, dużo robi się dla dziewięcioperłowej korony, o której wyżej się wspomniało.

Pierwsze lata małżeńskiego pożycia zawiodły jej nadzieje. Poświęciła się dla mary, która chciała stać się nie chciała.

Hrabia Jan wziął się do interesów z energią niezwykłą, a spłaciwszy posagiem znaczną część długów, obciążających hipotekę dużego własnego majątku ziemskiego, prawie w okamgnieniu dorobił się kroci, a potem i milionów, czem podniósł swoje i żony znaczenie w świecie.

Upragnionego jednak potomka, jak nie było, tak nie było.

Pani Marcelina, która w staropanieństwie

mogła wszystkim starym pannom służyć za wzór dobroci i równego humoru, w chłodnych chociaż przyzwoitych stosunkach z mężem skwaśniała, stetryczała, stała się przykrą i niemiłą dla dalszych i bliższych. Panu Janowi, który potrzebował pani domu uprzejmej i ujmującej, było to nie na rękę, ale milczał i nie dawał poznać, że dostrzegł zmianę w usposobieniu żony.

Byłto człowiek w całym tego słowa znaczeniu dobrze wychowany i pełen taktu. Dawne życie i użycie wypaliło w sercu jego i w żyłach wszelkie namiętności do szczytu, tak, że choćby chciał, nie umiał się unieść i rozgniewać, chyba że go jaki nieuczciwy oficyalista okradł, albo plenipotent zarwał, albo nabyte papiery publiczne nagle spadły w kursie. Ale i wtedy jeszcze wszystko się kończyło na jakimś *saperlote* albo *fichtre*, wycedzonym przez zęby, tak, że tylko ktoś, co go znał bliżej, mógł odgadnąć, że pan Jan czemś się zmartwił lub zirytował.

Nareszcie pewnego dnia na wiosnę, kiedy państwo bawili (wcześniej niż zwykle) w swojej wspaniałej rezydencji wiejskiej, rozniosła się wieść po okolicy, że gorące życzenia niemłodej pani ziścić się mają. Nowina gruchnęła szybko w ca-

łem sąsiedztwie, odbijając się donośnem echem aż w Warszawie i dalej.

Sąsiedzi, oraz liczni znajomi z miasta zjeżdżać się zaczęli, aby winszować.

Nadzieja przyjscia na świat, prawdopodobnie krzykliwego jak wszystkie bębny potomka, nie cieszyła wcale hrabiego, ale zawsze grzeczny, udawał nader przyzwoicie, że dzieli radość żony. Więc gościnnie podejmował przybywających, pomimo, że kilka dni, a nawet parę tygodni trwające wizyty eleganckich dam stołecznego świata nużyły i pozbawiały go miłego spokoju, zwłaszcza że od pewnego czasu nie domagał. Reumatyzmy dokuczały mu nieznosnie, podagra boleśnie mu strzykała w nogach.

Pani Marcelina zaś, znowu jak niegdyś uprzejma i miła, odziana w wytworny, suto fałdujący się szlafroczek, witała odwiedzających z dumą, niby matrona starożytna, pełna majestatycznej powagi, a jednak promienna, szczęśliwa, uśmiechająca się do słodkiej nadziei, jak dziecko do cacka. Jeszcze trochę krasy kwitło na jej licach, a nagłe zadowolenie zdawało się ją odmładzać, wyglądało bowiem już marszczące się czoło i rozniecało dawne pogodne blaski w zamglonych smutkiem źrenicach.

Cichy dotąd pałac ożywił się, rozruszał, rozsumiał.

Goście z różnych stron napływali nieustannie. Śniadania i obiady przeciągały się poza zwykłe godziny. Służba, jakby zbudzona z letargicznego uspienia, krzątała się gorączkowo. Na podwórzu rozlegał się tentent kopyt, skrzypienie kół po żwirze i trzaskanie z bicia. W strzelnicy ogrodowej padały od rana gęste strzały pistoletowe. W bilardowym pokoju drżały szyby od łomotu bil z kości słoniowej, uderzających o siebie albo warczących jak frygi, kiedy mijały się w pędzie na gładkiej powierzchni zielonego sukna. Na trawnikach zgrabne rączki, okryte przeźroczystymi mitenkami, ile im tylko sił starczyło, waliły młotami krokietowymi w różnokolorowe, drewniane kule. Wszędzie dźwięczały śmiechy wesołe, wszędzie wrzał ruch niezwykły. Przechadzki w parku i przejażdżki konno lub w powozach: nad rzekę, do lasu, do pasieki lub do klasztoru oo. Bernardynów, oddalonego od dworu o półtorej mili, gromadziły jaskrawe grona strojnych pań i dystygowanych panów.

Wszystko to męczyło hrabiego Jana okropnie. Chodził jak z krzyża zdjęty, ale nie uskarżał się, znosząc cierpliwie udręczenia i niewygody. Pani

Marcelina przekonana, że szczęście jej dało asumpt do tych improwizowanych uroczystości, chociaż w rozrywkach brała mały udział, cieszyła się ogólną zabawą niewymownie.

A goście?

Ba! goście... jak goście! Traktowali pobyt na wsi u bogatych znajomych jako jednoaktowe *lever de rideau*, po którym dopiero nastąpi sztuka prawdziwa w kilku odsłonach, nosząca tytuł: „Zagranica“.

Panie próbowały mocy swoich wdzięków na prowincjonalnej kawalerii i przymierzały toalety wiosenne, kostiumy, amazonki, jakby dla przekonania się, czy dobrze leżą; bo po tej próbie, suknie, kostiumy, amazonki, mogły jeszcze wrócić na poprawę do modniarek i krawców warszawskich lub paryskich, aby później, w lecie, zabłysnąć całą swą doskonałą skończonością nad Renem lub nad morzem.

Panowie oceniali ze znawstwem wykwintną kuchnię i stare wina. Panom podobały się rasowe konie, ładne ekwipaże, dobrze urządzone myśliwstwo, oraz zwarte aleje i cieniste gaiki parku, wpośród których, wieczorem chichotały karminowe usteczka całego roju miejscowych i przybyłych z miasta subretek, budzących przed-

smak przyjemności, jakich im w całej pełni dostarczy półświatek paryski.

Słowem niefrasobliwa czereda, przed dorocznym odlotem zagranicę, z rozkoszą spędzała pierwsze dni sezonu letniego na wsi, w rezydencji odznaczającej się komfortem prawdziwym. Za roskosz tę dawali przecież gościnnym gospodarzom wymowny dowód swojej przyjaźni, bo wszakże razem z nimi i na ich intencję święcili radosną nadzieję rychłych urodzin długo oczekiwanego... syna. Tak, syna; bo o synie tylko marzyła pani Marcelina; syna tylko posiadać chciała, dziedzica dziewięcioperłowej korony po ojcu, po niej zaś świetnych koligacyj rodzinnych i dostatków, jakie wniosła w dom męża.

Lecz i spełnienie najgorętszych życzeń mie-
wa często przykre niespodzianki.

W kilka miesięcy po wyjeździe wesołych gości, już późną jesienią, hrabina w srogich cierpieniach powiła córkę.

Zawód był nader przykry i bolesny, zwłaszcza, że po jednym nieszczęściu przyszło wkrótce i drugie.

Pan Jan, oddawna cierpiący, chociaż do cierpień się nie przyznawał, tknięty został paraliżem. Stracił władzę w całym prawie ciele i oniemiał.

Usta drżące, blade, bełkotały niewyraźne brzmienia, których w początkach nawet zrozumieć nie było można. Nogi i ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Umysł, pomimo, że zupełnie przytomny, utracił moc i środki komunikowania się z otaczającym światem. Służba ubierała i rozbierała biedaka. Trzeba go było karmić i poić jak niemowlę. Ze świtem (budził się bowiem wcześniej) sadzano go w wygodnym fotelu, gdzie całe dni przepędzał postarzały, zadumany, cichy, nieruchomy, z oczyma utkwionemi w krajobraz, rozciągający się za oknami.

Pani Marcelina, chociaż sama złamana smutkiem i świeżo odbytą słabością, zajmowała się mężem w pierwszych tygodniach jego choroby nader gorliwie, z prawdziwym chrześcijańskim zaparciem się wrodzonego samolubstwa. Żadna siostra miłosierdzia wyrównałaby jej w staraniach nie zdołała. Lecz w miarę jak lekarze jeden po drugim, najślynniejsi nawet, sprowadzeni z Warszawy i zagranicy, tracili nadzieję w wyzdrowienie hrabiego, litość jej i poświęcenie przybierać zaczęły dziwny charakter. Wprawdzie opiekowała się panem Janem z pozornie jednaką dbałością, na chwilę nie zapominając o jego potrzebach materialnych i moralnej rozrywce, czytała mu bo-

wiem wieczorami książki i dzienniki, ale w tej pieczołowitości wzorowej było coś tak odpychającego, w każdym jej spojrzeniu błyskała taka dzika złość czy nienawiść, w wyrazie twarzy taka surowość, a w głosie tętnił taki jakiś żal tajony do nieszczęśliwej ofiary, z którą stuła związała ją na zawsze, że mimowolnie mrowie przebiegało po ciele.

Wszyscy, których stosunki familijne lub towarzyskie skłoniły teraz do odwiedzin, dla wyrażenia kondolencji, nie zdając sobie sprawy z nie miłego wrażenia, czuli się przygnębieni widokiem tych dwóch istot, tak źle złączonych, a równocześnie przywalonych ciężkiem brzemieniem niedoli.

To też coraz rzadziej ktoś przyjeżdżał; — w końcu zaś dalsi i bliżsi bywać przestali.

Dla osamotnionych rozpoczęło się życie we dwoje naprzód, później we troje... bo córeczka ich, Stasia, z nędznego, chudego, drobnego niemowlęcia, przetwarzała się z biegiem czasu w dziewczynkę.

Smutna to była trójka... jakaś ponura, po tępiąca, opuszczona od Boga i ludzi.

Hrabina straciła szybko wszelki wdzięk kobiecości. Oddana czynnie sprawom majątkowym, nad którymi musiała objąć zarząd i kierunek,

zaniedbała się w toalecie. Ruchy jej stały się gwałtowne, konwulsyjne, urywane, nieestetyczne. Sucha, sztywna, pomarszczona na licu, przemawiająca do wszystkich dumnie lub groźnie, spoglądała na męża owym okropnym wzrokiem, prześzywającym do szpiku kości. Na córkę zaś patrzyła oczami rozwartemi szeroko, a w nich malował się zimny, nieludzki wstręt jakiś. Nieraz... chciała widocznie zapanować nad sobą... i nie mogła. Nachylając się nad kolebką stojącą w korynki, muśliny i atłasy, zbliżała powoli... powolutku... usta do czoła śpiącej dzieciny; lecz zanim wargi jej drgające dotknęły żółto bladej, bezkrwistej, drzemiącej główki, okolonej haftowanym rąbkem czepeczka i pograżonej w puchach poduszek, już wstrząśnienie wewnętrzne podnosiło ją i odsuwało daleko od kolebki.

A jednakże pieczołowitość pani Marceliny o Stasię, równie jak o męża, nie miała granic; ale do pieczołowitości podobnej skłaniała ją i zagrzewała nie miłość macierzyńska, tylko z zasad płynące poczucie obowiązku. W walce, jaka nieustannie toczyła się w jej łonie, obowiązek brał górę nad nienawiścią (wynikiem rozezarowania) i nad wstrętem (że się tak wyrażę) staropanieńskim do istoty, której przyszło na świat, wśród

Z. Sarnecki. Nowelle.



zbiegu fatalnych okoliczności, pozbawiło ją resztek urody, młodości i najdroższych nadziei. Pani Marcelina, której przed wyjściem zamaż, nikt nie mógł zarzucić złości, fochów i kaprysów starym pannom właściwych, teraz, pomimo macierzyństwa, stała się podobną do starej panny.

Hrabia wydawał się obecnie zgrzybiałym starcem. Dumał ciągle, rachował się z sumieniem i przeszłością, cierpiał niezmiernie. To cierpienie, wypiętnowane na twarzy, uszlachetniało widocznie jego rysy, bo wydawał się mniej brzydki niż dawniej. Jakkolwiek mówić nie mógł, umiał jednakże pewnymi dźwiękami ochryplego głosu wyrażać myśli najprostsze, wiążące się z materyalnemi potrzebami swego pólstnienia. Znaczenie tych dźwięków nauczyła się odgadywać naprzód żona, później stary kamerdyner, w końcu Stasia. Skala ich była bardzo ograniczoną, a jednak oprócz wyżej wymienionych osób nikt pana Jana nie rozumiał. Wyobrażeń, nieobjętych szczupłym kręgiem codziennych, zwierzęcych warunków życiowych, nieszczęśliwy paralytyk nie był w stanie odpowiednio określić, bo z gardła jego wyrzywały się tylko głuche monosylaby, a bezwładność rąk nie pozwalała mu ich uzupełnić znakiem lub gestem. Pragnąc obrazować najpospolitsze pojęcia

z dziedziny moralnej, nie rozporządzał potemu nawet takimi środkami, jakimi władza swobodnie niewykształcony głuchoniemy. Ta bezsilność ducha, skrępowanego obumarłym ciałem, dokuczała mu najstraszliwiej, zwłaszcza w chwilach, kiedy wzrok żony, jak nóż zimny i ostry, zatapiał się bezlitośnie w jego sercu, budzącem się nagle i niespodzianie do uczuć ludzkich.

Ta reszta człowieka, niedawno jeszcze zupełnie samolubnego, wychłodzonego do gruntu, ten trup nieruchomie siedzący w fotelu, pokochał dziecko swoje szalenie, zazdrośnie, niemal namiętnie; pokochał za siebie i za matkę, za całe życie ubiegłe, pozbawione iskry prawdziwej miłości.

Co wywołało rozniecenie ognia i płomienia, tam gdzie żaru nawet nie było?... niepodobna ani psychicznie ani fizjologicznie wytłómaczyć. Tego rodzaju cuda, jako cuda, wymykają się z pod badań najbystrzejszej obserwacji. Gdyby nie wyjątki (często liczniejsze od reguł) moglibyśmy dyssekować duszę piórem, jak ciało skalpelem. Tak przynajmniej twierdzi mój przyjaciel, dr. Józef, oryginał jakich mało. Ponieważ jednak poświęcimy mu inne opowiadanie, wracajmy co najspieszniej do wątku naszego szkicu, w jakim autor może zaledwie konstatować fakta, a nie za-

stanawiać się głębiej nad ich premisami. Analiza zajęłaby nam dużo więcej miejsca, niż ta cała, jeśli niezupełnie prawdziwa, to przynajmniej bardzo prawdopodobna i prosta historia.

To jednak, co do nas z obowiązku należy, spełnimy rzetelnie, opowiadając nieco później, w jaki sposób pan Jan poznał i pokochał Stasię.

Pieczęłowitość pani Marceliny otoczyła córeczkę mnóstwem kobiet, czuwających troskliwie nad dzieckiem chorem i nerwowem. Oprócz liczego fraucymeru, opiekującego się małą dziewczką dziewięcioperłowej korony, Stasia miała naprzód mamkę, silną i czerstwą wieśniaczkę; następnie niańkę pocziwą; później dwie bony, dobre jak chleb powszedni, które włą istotkę wykarmiły, wychowały i utrzymały przy życiu z pomocą starego lekarza, trzy razy na tydzień dojeżdżającego z sąsiedniego miasteczka do pałacu.

Pomimo bardzo czujnego i racjonalnego fizycznego wychowania, wrażliwość biednego dziewczątka przechodziła wszelkie pojęcie. Przestraszała na widok żebraka w łachmanach, sen przykry, zagniewane spojrzenie jednej z osób ją otaczających, wprawiały Stasię w stan rozdrażnienia nerwowego groźnej natury. Nie beczała jednak jak inne dzieci, nie krzyczała, nie kaprysiła nigdy,

tylko po żółto bladej twarzyczce toczyły się łyzy duże jak ziarnka grochu, serduszko kołatało gwałtownie w szczupłej, wąskiej klateczce piersiowej, usteczka siniały, a cała drobna postać drżała jak w febrze.

Urodziła się skazana na śmierć, nawpół zwiędła, jak owe kwiatki jesienne, co krótko trwająca pogoda babiego lata z pod ziemi wynurzy, a pierwsze mrozy zważą. Starania przychylne i rozumne utrzymały ją przy życiu, ale doktor ostrzegał, że należy obchodzić się z nią nader oględnie i delikatnie, bo lada lodowaty powiew północnego wiatru, lada silniejsze wstrząśnienie moralne zabić ją może. Dlatego hrabina panowała nad sobą i łagodziła w jej obecności surowość swego głosu, oraz grozę pełnego nienawiści spojrzenia, lecz nie przyciągała też do siebie pieśczętą i czułością. Stasia zaś, jakby przeczuła, czy odgadła wstręt matki, trzymała się od niej zdaleka. Nigdy, jak to zwykle czynią dzieci, zwłaszcza jedynaczki, nie przybiegała sama do pani Marceliny z wyciągniętymi rączkami, z uśmiechem na ustach, z krzykiem radosnym. Na zawołanie szła posłusznie, ale powoli, smutnie, poważnie — czasem jak osoba dorosła, co upokorzenie w sercu kryje, cza-

sem jak pies, lękający się kary, chociaż na karę nigdy nie zasługiwała.

W latach, kiedy dziecko rozwija się do życia; kiedy swoim, sobie tylko właściwym, dziwnym językiem nazywa rzeczy i ludzi; kiedy z mroku niemowlęstwa przechodzi do jasnowidzenia lub przeczucia otaczającego je świata, niezając sobie z niego sprawy i garnąc się doń całym sercem; w wieku tym, kiedy dziecko jest najrozkoszniejszą istotą stworzenia — Stasia już była jakąś poważną, niemal dojrzałą panią, pełną obawy, jak nieugłaskane zwierzątko, drażliwą jak rośliny, zamykające swoje liście i kwiaty za najłżejszym dotknięciem, nieufną i wątpiącą, jak ludzie, co tysięcznych zawodów doznali.

Dużo czasu upłynęło, zanim pan Jan poznał Stasię.

Hrabina, jakby umyślnie, nie przyprowadzała dziecka do ojca, usprawiedliwiając to rozłączenie stanem jednego i drugiej. W gruncie duszy — może nawet nie zdając sobie dokładnie sprawy z uczuć i wrażeń, jakie ją skłaniały do odwlekania chwili poznania się dwóch istot, złączonych z sobą najświętszym pokrewieństwem — lękała się ich zbliżenia.

Drżała na samą myśl, że kiedyś wreszcie zo-

baczyć się muszą i mogą wzajemnie „polubić“. Inny wyraz odganiała jak uprzykrzoną muchę, chociaż ciągle brzęczał jej natrętnie gdzieś w mózgu pod czaszką. Kto wie?... może zechcą połączyć się przeciw niej; może będą stawić jej czoło?!... W głowach, opanowanych szaleńcami, najdziwaczniejsze rodzą się przypuszczenia. A jednak, w pacierzu, jaki dla Stasi sama ułożyła — który dziewczynka, klęcząc odmawiała co rano i wieczór pod nadzorem bony — mieściły się następujące wyrazy:

„Boże! powróć zdrowie tacie, a mamie daj siły do zniesienia nieszczęść!“

Byłaż to tak daleko sięgająca hipokryzja?

Czy i Boga oszukać pragnęła?... Boga, którego przez niewinne usta własnego dziecka prosiła o litość i zmiłowanie nad sobą?... Ha! któż odgadnie zawile tajemnice aberacji umysłu ludzkiego, kto nakreśli stałe granice pomiędzy wpływami cywilizacji, zasad, religii — a tem, co pozostało w naturze człowieka z jego dzikiego, zwierzęcego początku!

Pan Jan, pomimo machiawelskich praktyk żony, wiedział że Stasia żyje, rozwija się i wzrasta. Opowiadał mu o niej niemal codziennie stary

kamerdyner, wielki gaduła, i lekarz, ile razy tylko odwiedzał hrabiego.

Dodać tu muszę nawiasowo, że skromny miasteczkowy doktor, chociaż nie zaprzeczał wręcz i otwarcie wyrokowi, wydanemu przez swoich słynnych kolegów z Warszawy i zagranicy, żywił jednak nadzieję, że lecząc paralityka według własnej metody, wyleczy go z czasem niezawodnie. Lecz z przekonaniem swoim nie zwierzał się nikomu, tem bardziej zaś pani Marcelinie, której instynktownie nie lubił.

Prawdopodobnie pocziwy eskulap łudził się tylko, ale dzięki jego złudzeniom, stan zdrowia hrabiego, poddany ciągłemu baczeniu i kuracyi nie pogarszał się wcale. Jeśli ciało nie przestawało być martwem ciałem, umysł utrzymywał się w równowadze, może nawet jaśniejszy niż przed chorobą, bo przez nieustanną, wewnętrzną, duchową pracę wzmocniony, mógł obejmować coraz szersze horyzonty.

Do zdwojenia sił umysłowych dopomogło niepomatu przebudzenie się serca w piersi dobrze wychowanego egoisty. A i to w znacznej części było dziełem lekarza. Z metody jego wypływała konieczność: aby pan Jan pokochał córkę, jak

na zdrowego i normalnie ukształtowanego człowieka przystało.

Pewnego ranka hrabia zobaczył przez okno Stasię, bawiącą się na trawniku wśród bon i pańien służebnych.

Kamerdyner Ignacy był właśnie na dyżurze w pokoju swego pana. Okrywał mu w owej chwili nogi miękkim, puszystym kocem wełnianym. Ze szczerem politowaniem spoglądał od czasu do czasu na chorego. Znał go młodym, wesołym — zżył się z nim i przywiązał do niego.

Hrabia siedział nieruchomy w dużym wygodnym fotelu. Na czole wiszącą chmurę czarnego smutku rozpuściła powoli pogoda nieba lazurowego, wpływająca przez okno i odbijająca się w źrenicach starca. Źrenice te, utkwione w dziewczątko, zdawały się jednak o coś pytać starego sługi.

— Tak panie hrabio, to Stasia... — poprawił się — ...panna Stasia, córeczka jaśnie pana.

Z piersi paralityka wydobyło się niby westchnienie, niby jęk jakiś ochrypły.

— Zdrowa?... a jakże, Bogu dzięki, zdrowa.

Po chwili dodał, opierając się poufale o poręcz fotelu:

— Dobra jak aniołek. Wszyscy w domu kochamy ją bardzo... Taka przylepka!

Ignacy nazwał Stasię „przylepką“ ot tak bez myśli, z pochlebstwa, które mu ten wyraz naniosło na język, bo wiedział, że dziecko dobre ale nie Ignie zbytecznie do pierwszego lepszego, przeciwnie od ludzi stroni i ucieka.

Wyteżony wzrok hrabiego nie opuszczał dziewczynki, ale zarazem badał dalej starego kamerdynera.

— Dawno jużby my ją tutaj przyprowadzili do kolan jaśnie pana, ale pani hrabina zabrania... Boi się, aby to zdrowiu pana hrabiego nie zaszkodziło.

Coś, niby czerwona mgła, przesunęło się po wilgotnych oczach nieszczęśliwego.

Jęknął znowu.

Kamerdyner nachylił się i szepnął mu do ucha:

— Jeden tylko pan doktor mógłby na to poradzić.

Nadzieja radością roziskrzyła spojrzenie pana Jana.

— Niech jaśnie pan będzie spokojny. Ja z nim pomówię... poproszę.

I rzeczywiście, w parę dni potem, Ignacy bardzo żywo rozmawiał w tym przedmiocie ze starszym lekarzem. Następnie doktor rokował długo i natarczywie z panią Marceliną, która po silnym

oporze, uległa wreszcie perswazyom i namowom. Dzięki owym rokowaniom zbliżenie córki do ojca zostało postanowione i wnet w obecności eskulapa doprowadzone do skutku.

Kiedy przyniesiono dziecko do pokoju hrabiego, Stasia — w pierwszej chwili — przeleżała się postaci niemej, bezwładnej, pozornie groźnej i surowej, z chorobliwym i bolesnym wyrazem na licu. Drżała całym ciałem i milczała. Serduшко zdawało się rozbijać jej łono!... A jednak, nieruchoma postać pana Jana, przyciągała jej oczy jak magnes przyciąga żelazo. Chciała niepatrzeć... a patrzała.

Doktor przysiadł przy niej na posadzce, objął rękami i uspokajał dziewczátko, chociaż nie zmuszał, aby się do ojca zbliżyło. Mówił tylko tonem łagodnym, prawie śpiewnym, jak zawodzenie nianiek:

— To tata... biedny, cierpiący... kocha Stasię... to tata... Stasia nie powinna się go lękać... on dobry... bardzo Stasię kocha... Nie chcesz poznać swojego taty?... to tata...

Dziewczynka odyskiwała powoli przytomność. W główce jej odbywał się proces grupowania myśli z tą zdrową logiką, jaką dzieci posiadają nieraz w nader wysokim stopniu. Szybko połą-

czyła w myśli wyrazy pacierza „o tacie“ z obrazem, jaki się jej przedstawiał. Odwróciła się do lekarza; wzrokiem czystym i pytającym sięgnęła gdzieś w głębię jego pocziwej duszy, malującej się przezroczyście w starych, siwych oczach; uwolniła z jego objęcie i pobiegła prosto ku ojcu.

Uklękła przy jego nogach... Po chwili, złożyła pocałunek na ręce, bezwładnie zwieszanej na kolanie.

I za radości i szczęścia spłynęła po obliczu starca.

Pocałunek i łza złączyły na zawsze te dwie, od owej chwili gorąco kochające się istoty.

Opiekunką istotną hrabiego stała się wkrótce Stasia, rozwijająca się i wzrastająca z niezwykłą szybkością. Zdawało się, że jej z każdym dniem przybywa. Wiotka kibić dziewczynki, jak lodyga lilii strzelała coraz wyżej, uwieńczona główką jasnowłosą, twarzyczką bladą i chorobliwą.

Lękliwości swej w obec matki, nie pozbyła się wcale, przeciwnie wrażliwa jak dawniej, drżała, posłyszawszy jej głos z daleka. Samo spojrzenie pani Marceliny w głąz ją zamieniało.

Ta ostatnia, pomimo niechęci i zazdrości, jakie odczuwała na widok pieśszot i starań, któremi córka otaczała hrabiego, nie śmiała dręczyć

jej i prześladować. Obawiała się zerwać zbyt gwałtownie ów węzeł, tak nagle i niespodzianie zadzierżgnięty, a wiążący ściśle dwie istoty, które i ona powinna była kochać... a jednak nienawidziła skrycie. Wpływ wychowania i zasad, wpojonych w dzieciństwie, mitygował dotąd jeszcze zgryźliwość i złość, przepełniającą zawiedzione i rozjątrzone serce.

Pomiędzy biednym paralitykiem zatem, a Stasią, wytworzył się jakiś niemal hipnotyczny stosunek wspólności myśli, uczuć, wiary i przekonań. Nie wiadomo, kto w nim odgrywał rolę magnetyzera, a kto medium, bo raz córka posłuszną była życzeniom, płynącym z promieniających oczu starca, to znowu ojciec ulegał głosowi dziewczynki jak dziecko. Oboje słabi, oboje ledwie trzymający się ziemi... w sferze moralnej, w zacieśnionym obrębie swego wspólnego, ograniczonego żywota, zdawali się mężni, silni, niezlomni. Przywiązanie stworzyło z nich interesującą parę, coś nakształt Oresta i Pylladesa... pięknej, starodawnej, greckiej pamięci.

Tak upływały dnie, miesiące, lata... a monotonność ich ciążyła tylko pani Marcelinie.

Stasia dobiegała ośmnastej wiosny, ciągle wątła, blada, wybujała wzrostem, obawiająca się

matki, duszą całą ojcu oddana, poświęcająca się miłosierdziu, dobrym uczynkom i sprawom, o których pomówimy dalej.

Hrabia — leczony specjalną metodą skromnego lekarza z miasteczka — nie myślał umierać; zamiast zbliżyć, oddalał się od grobu. Wprawdzie widocznej zmiany w stanie jego zdrowia dostrzedz nie było można, jednakże starzec sparaliżowany czuł się rzeświejszym i rozumiał, że niemoc nie włada nim niepodzielnie. Umysł jego pogodnie i uczciwie patrzył teraz na rzeczy i ludzi, nie émiony już jak dawniej oschłym samolubstwem. To coś — co skrzywiło, zeszytywniło i skurczyło jego członki — wyprostowało duszę, chociaż obleczone w chore ciało.

Hrabina — jak to już powiedzieliśmy — zajmowała się sprawami majątkowymi, ale energią jej i czynność, nie oparte na właściwym ocenieniu stosunków ekonomicznych, ani na znajomości ludzi, wydawały rezultaty ujemne. Nieufna i podejrzliwa, co kwartał niemal zmieniała oficjalistów, oddalając ich pod wpływem kaprysu, bez powodu, często niesłusznie. Rozstrój, panujący w jej sercu, oddziałał dezorganizacyjnie i na głowę. Kobieta rozsądna niegdyś i praktyczna — w pełnej sile władz umysłowych — stała się ner-

wową i dziwaczną. Ledwie resztkami taktu broniła się od maniactwa, które chwilami brało górę nawet nad taktem. Gospodarstwo zatem szło lada jako, a interesa cierpiały. Potrzeba było kogoś, coby ją we wszystkim wyręczył i zarząd w umiejętnie i silne ujął dłonie.

Szczęściem, jeden z jej dalekich krewnych, człowiek młody, ubogi, który z chlubnym atestatem ukończył szkołę rolniczą, przybył pewnego dnia w odwiedzin do pałacu. Uwagi jego i rady wydały się pani Marcelinie, tak racjonalnemi, że zatrzymała kuzyna Romana na stałe, mianując go rządcą dóbr, generalnym administratorem i pełnomocnikiem. Postanowienie to — jakkolwiek nie wypływające z chłodnego rozmysłu lub z gruntownego poznania człowieka, lecz wywołane przebudzeniem się dawnej, wrodzonej bystrości i chwilowem jasnowidzeniem, przedewszystkiem zaś gorączkowym pośpiechem — okazało się w skutkach błogosławione, młodzieniec bowiem posiadał niezwykłą intuicję w sprawach finansowych i istotną wiedzę w rzeczach agronomicznych. Przytem pracowity, wykształcony, a umiarkowany i dobry, od razu zjednał sobie w sąsiedztwie i otoczeniu zarówno szacunek jak i sympatyę, co ułatwiło mu trudne zadanie upo-

rządkowania interesów i podniesienia chylącego się do upadku gospodarstwa w rozległych posiadłościach ziemskich.

Poznajmy go bliżej.

Roman należał do kategorii młodych, których ludzie mojej generacji nazywają przedwcześnie starymi, bo pozornie zdają się nie rozumieć i nie kochać ideałów, za którymi goniliśmy w niezbyt odległej przeszłości, za którymi zmęczeni wlecemy się jeszcze obecnie, chociaż sami nie wierzymy już bardzo w zasadę: „łam, czego rozum nie złamie“, zwłaszcza od czasu kiedy rozum przybrał za godło: „siła przed prawem“. Tymczasem tu, w pośród nas — w naszym pocziwem, chociaż psującym się i nie zawsze mądrym społeczeństwie — ci, co niby nowoczesnym prądom poddali się zupełnie, co nie tylko ich domniemyanych reguł łamać nie chcą, lecz w kajdany — przez dzisiejszy rozum stanu narzucone — zakuli każdą myśl, każde pragnienie... nie wiele od nas się różnią. Bo... „bo wszystko już było“... i przez to, że było, nowe ze starem łączą się dość ściśle i wzajemnie zabarwia. Pewne polityczne i filozoficzne pojęcia, przekraczające sferę prostych, fundamentalnych prawd — niezmiennych i niewzruszonych jak

prawa natury — były, są i będą optycznym złudzeniem chwili. Dla bystrego i krytycznego wzroku przedstawiają się jak zjawiska, powtarzające się w dziejach peryodycznie. To, co dziś wydaje się znameniem istnienia i życia, jutro poczytanem być może za czynnik rozkładu i zgonu... i na odwrót. Pomimo sprzecznych o nich sądów i różnej oceny, łatwo odgadnąć, że to dawne myślowe kształty, chociaż zmieniły trochę formę zewnętrzną. *Alles ist schon einmal da gewesen*, powiada Ben-Akiba w Urielu Akoście. Zgrzybiały rabi ma słuszość. Niestety! wszystko już było... nie nowego pod słońcem!

Roman wierzył w swoje zasady szczerze. Mniemał, że są produkcją prawdziwego, najnowszego postępu i że postęp rozszerzają, zatem ludzkość uszczęśliwić muszą. (O zbawieniu biednej ludzkości nie było w nich mowy!) Chociaż często nie godziły się one ani z jego sercem pełnem dobroci, ani z temperamentem gorącym, ani z umysłem skłonny do ubóstwiania poezji, ale dlatego też może właśnie, oddziaływały nań do pewnego stopnia korzystnie. Ochłodziły go i wytrzeźwiły w samą miarę, niepsując przymiotów wrodzonych, niewylęgając w łonie robaka złośliwości, nienawiści i pesymizmu. Słowem za-

sady te, chociaż objęły go na zewnątrz całkowicie, chociaż się niemi owinał jak wygodnym szlafrokiem, nie wgrzyzły się kwasem swoim w głąb jego istoty moralnej, pozostały tylko powłoką natury zdrowej, wolnej od wszelkiego teoretycznego i doktrynerskiego bałamuctwa. Nie zrobiły zeń ani kosmopolity, ani karyerowicza, ani zapoznanej wielkości lub trybuna bez słuchaczy... Nauczyły tylko umiarkowania, rozważgi; wyleczyły z dumy, próżności i innych wad szlacheckich, wyliczanie których zbyt dużo zajęłoby nam miejsca. Czerstwy, silny, dobrze zbudowany, piękny — piękną męską — ujmował ludzi nawet powierzechownością. Na ogorzałej twarzy malowało się zdrowie ciała, zdrowie duszy. Czarne oczy błyszczały ogniem młodości, zahartowanej świeżym wiejskim powietrzem i życiem czynnym, a krótko ostrzyżone ciemne włosy stanowiły wdzięczny kontrast z jasnym i pogodnym czołem. Wąsik ledwie zasiewający się, zdobił wargę czerwoną, jak środek rozdartego granatu. Doktor, który — wbrew swoim interesom — lubił niezmiernie ludzi zdrowych i zdrowo wyglądających, mówił o nim:

— A to mi chłopiec!... choć się wody napić!
Na Stasię, wątłą i słabowitą — a jak mi-

moza czułą i drażliwą — widok tego czerstwego młodzieńca wywarł dość silne, lecz z początku nie mile wrażenie. Lękała się go czas jakiś, zwłaszcza, że kuzyn, protegowany przez panią Marcelinę, z natury rzeczy z nią tylko o interesach konferował, z nią się porozumiewał i nią tylko zajmował, nie zwracając niemal uwagi na hrabiego i jego córkę, prawie zawsze odosobnionych w pałacu i stojących po za obrębem czynnego życia i obowiązków, jakich się podjął Roman. Widywała go ledwie kiedy niekiedy. Żadna twarz i zgrabna postać młodego administratora zajęły ją jako nowość, nie zachwyciły jednakże i nie podbiły od razu jak innych. Nie miała doń, — w ścisłym znaczeniu tego wyrazu — wstępu, ale czuła się zaniepokojoną obecnością obcego, który spadł niespodzianie jak aerolit z nieba, a rozgościł się w domu szybko i swobodnie. I pan Jan, chociaż rzadko widywał Romana, podejrzliwie spoglądał nań okiem. Zdawał się go badać, obserwować i także nie lubić.

W czasie jednej z wizyt lekarza, który często paralytyka odwiedzał, kuzyn-plenipotent znajdował się w sypialni starca. Hrabia tak mało podobny był do istoty żyjącej i przytomnej, że młodzieniec — pomimo zwykłego sobie umiar-

kowania i taktu — w roztargnieniu chwilowem, zdradził się ze swemi poglądami materyalistycznymi, dyskutując półgłosem o chorobie pacyenta. Ten ostatni — czujniejszy od najzdrowszego — słyszał wygłoszone zdania. Niedgdy obojętny w rzeczach religii, zbywający je nie-ostentacyjnem lekceważeniem, od chwili jak uległ ciężkiej niemocy, a szczególnie od czasu jak pokochał Stasię, stał się wierzącym gorąco. Teorye Romana, bardzo mu się nie podobały, a niechęć jego i nienawiść do zasad wyznawanych przez młodzieńca, przeniosła się na młodzieńca samego.

Tak zwykle bywa. Nie tylko chorzy grzeszą podobną zapamiętałością. I zdrowi dają nieraz zły przykład braku tolerancyi, zapominają, że wszelkie cuda szczerzego nawrócenia, dokonane zostały tylko dzięki wyrozumiałości i miłości.

Im wyraźniej manifestowała się nieprzychylność hrabiego i Stasi do Romana, tem życzliwszą dlań była pani Marcelina, tem chętniej zbliżała do siebie nie lubiące się istoty, wprowadzając przy każdej sposobności kuzyna do pokoju męża. Czyniła to niezawodnie bez wyrachowania, bez z góry ułożonego planu i powziętego *in petto* postanowienia, lecz popychał ją w tym kierunku

instynkt złośliwości i wzrastającego codziennie rozgoryczenia.

Lekarz — o którym często przychodzi nam wspominać w tem opowiadaniu — polecił Stasi konną jazdę, mającą rozwinąć siły dziewczęcia i wzmocnić jej organizm. Sprowadzono więc siodło damskie z miasta, wybrano najspokojniejszą klacz wierchową, jaka była w stajni, wytrawny mastalerz kilka dni z rzędu oswajał ją z widokiem amazonki uczepionej przy siodle... poczem, pod oknem pokoju ojca, ze wzruszeniem patrzącego z fotelu na ukochaną córkę, Stasia — udając spokój i odwagę — dosiadła kasztankę i przejechała kilkadziesiąt kroków w około trawnika. Mastalerz prowadził Łanię; tak nazywała się czystej krwi angielka, wcale ładna i zgrabna, chociaż nie młoda.

Po pierwszej lekcyi, przyszła druga, trzecia i dziesiąta. Stasia przestała się lękać konia, nabrała wprawy w trzymaniu się na siodle i w kierowaniu rasową klaczą. W parę tygodni potem objeżdżała ogród cały; w miesiąc puszczała się w pole i na wiodący przez las gościniec. Towarzyszył jej berafter, na równie jak Łania starym gniadoszu. Po każdej wycieczce, wracano na trawnik pod okno hrabiego, który z rozkoszą

patrzył na kolory wykwitłe na bladym licu Stasi i na zadowolenie malujące się w jej oczach.

Bóg dał jakby umyślnie lato suche, ciepłe, pogodne... dobre do spacerów konnych.

Wpływ słońca — rzadko kiedy w tym roku zasłanianego chmurami — przyspieszył zbiory. Rozległe łany zbóż dworskich, ożywiły się mrowiem pracowitego ludu. Pod ścianą zlekka od ciężkich kłosów pochylającej się pszenicy, stały zastępy żniwiarek i żniwiarzy, nucących wesołe i zawodzących rzewne pieśni. Na tle słomy — dopóki zginali się ku ziemi — i na tle nieba — kiedy prostując się, ładnym ruchem rąk wznosili nad głowę sierp błyszczący i pęk użętej pszenicy — rysowały się malownicze postacie: parobków, kobiet, dziewcząt i dzieci wiejskich.

Śliczny bo widok przedstawiały pola, a z dyssonansów złożona harmonia — bijąca z ich przestrzeni — wzmagała urok tego widoku.

Od dołu smuga ciemnego złota... wyżej lazur bez końca... a na tem wszystkiem ogorzałe twarze, perkalowe, kraśne spodnice, pasy ziemienne, koszule drobnym przyozdobione haftem, czepce z grubego muślinu, kapelusze z żytniej plecione słomy, wełniane chustki czerwone i ramiona nagie, jak krew z mlekiem białe i rumiane lub

jak spiz śniadawe, w ciągłej działalności to zniżające się ku zagonom, to wybiegające nad falujące morze kłosów, tu i owdzie urozmaiconych — niby złoty klejnot rubinem i szafirem — to modrym bławatkiem, to pąsowym makiem, to kąkolem różowym. Za sznurem z ludzi, drgających życiem nieustannem, za szeregiem żniwiarzy — przebijających złotą ścianę, i długo przebić jej niemogących — ściernisko, jeszcze nie jesienne, jeszcze nie smutne, bo zasłane garściami tylko co użętego zboża, najeżone pękami snopkami, dyszące świeżością nagle odsłoniętej, pulchnej, zielenią pokrytej ziemi. Promienie słoneczne prześlizgują się po niej i biegną dalej, ciągnione — jak magnes — wyostrzoną stałą w księżyc wygiętych sierpów. Odbijają się w nich jak w zwierciadłach, a odbicie to sypie w około blaski migotliwe, że aż oczy bołą. Skowronki zawieszone w błękitie i śpiewające nieustannie, przypatrują się im ciekawie. Przepiórki swoim urywanem staccato, nawołują pisklęta w gąszczu pszenicznym ukryte. Konik polny, zda się, że strzyże szybko poruszanymi nożyczkami. Pszczoły brzęczą; w dali bocian klekocze, a derkacz aż gdzieś z łąki w parze z krzykiem się odzywa. Wszystkie te odgłosy — chociaż różne —

tworzą razem jakiś szmer melodyjny, czarujący i wzruszający. Słowem natura rozwinęła jedną ze swych najcudniejszych dekoracyj nad sceną letniego sezonu, pozwalając ludziom i ptakom — solistom — wykonywać zachwycającą symfonię lata, przy wtórze cichych chórów i *pianissimo* akompaniującej im orkiestry.

Z Romanem — niezmiernie czynnym przy żniwach, codziennie objeżdżającym wszystkie pola — spotkała się Stasia w swoich wycieczkach konnych. Z początku, młody człowiek tylko grzecznym ukłonem witał bladą panienkę. Następnie kiedyś zamienił z nią parę wyrazów; w końcu — pewnego dnia — zrównał konia z Łanią i jadąc obok, związał dłuższą rozmowę. Spostrzegł ze zdziwieniem, że lekkie dziecko — lekceważone i nie lubiane przez matkę — posiada niepowszednią inteligencję, że to, czego nie umie, jest w stanie odgadnąć, dzięki jakiejś niezwyklej a wrodzonej intuicji. Kto inny intuicję taką nazwałby natchnioną, Romanowi wydawała się ona sukcesyjną, odziedziczoną w fizyologicznym spadku po przodkach hrabiego, którzy musieli widocznie posiadać niepospolite zdolności właściwe swojej rasie, kiedy uzbierali tak znaczny majątek, roztrwoniony następnie przez pana Jana za kawa-

lerskich czasów i znowu przy pomocy posagu pani Marceliny zdwojony.

Stasia — chociaż niemal codziennie widywała Romana przy śniadaniu i obiedzie — z ogromną obawą wdała się z nim po raz pierwszy w konwersację. Młodzieniec musiał ją ośmielić swoją szczerością, humorem pogodnym, wytwornym sposobem wyrażania się, wolnym od fałszywej nuty polemiki, jaką najczęściej — niby sosem ostrym — zaprawiają jego współwyznawcy wszelkie dyskusye. Tak, ta para... chociażby już tylko kontrastem uroczą... dyskutowała ciągle, nieustannie, od chwili bliższego zapoznania się ze sobą. Takie dwie młode, ładne i sympatyczne istoty, wołały gubić się w abstrakcji, aniżeli — biorąc rzeczy jak Bóg przykazał — pokochać się od razu. Do wzajemnego bowiem pokochania zdawali się stworzeni przez naturę, tę mistrzynię uczuć i piękna przedewszystkiem, a dopiero potem mistrzynię nauki. Bo każdy przyzna pewno, że przyroda pierwiej nauczyła nas wielbić swoje wdzięki i kochać, niż zatrudniać się analizą chemiczną i plamić wiwisekcją. Lecz taki to już nasz zwyczaj szkaradny, taka zaraza epidemiczna, że ludzie wolą sprzeczać się, a następnie... (nie-

kiedy po niewczasie!)... sprzyjać sobie i lubić się wzajemnie.

Zkąd Stasia brała argumenta do dyskusyi z Romanem?... ona taka dziwnie skromna, lekliwa, a w rzeczach nauki nieświadoma?!... do prawdy, odgadnąć było trudno. Ksiądz proboszcz nauczył ją katechizmu, jedna z guwernantek historyi i literatury, inne — bo było ich kilka — rachować, obcych języków, robótek kobiecych, gry na fortepianie... Ot! i wszystko. Tyle, ile dystygnowaną, bogatą i dobrze wychowaną panią nauczyć wypadało. Jedno tylko chyba głośnie czytanie ojców dzienników i pism periodycznych (zastąpiła bowiem w tym obowiązku matkę), mogło w części wytłómaczyć jej obeznanie się ze sprawami społecznymi i zagadnieniami filozoficznymi. Umysł jej wyższy, wzmocony przedwczesnymi cierpieniami moralnymi, a nawet i dolegliwościami fizycznymi — obejmujący łatwo najzawilsze i najciemniejsze kwestye, wprowadzał z nich własne logiczne wnioski. Kierowała się może trochę w tym względzie wyrazem twarzy pana Jana, który podczas lektury zasępił się i chmurzył, to błyskał roziskrzonym spojrzeniem, pełnem radośnych promieni. Zadowolone lub smutek ojca, były dla niej do pe-

wnego stopnia miarą tego, co uważał za godziwe, dodatnie lub zdrożne, ale miarę tę — tak nieuchwytną — musiała ona wśród rozmyślań samotnych ukształtować, przedłużać lub skracać, za pomocą tej intuicyi, o której wspomnieliśmy już wyżej. Dość, że Stasia mogła dyskutować z Romanem, a co ważniejsza — bardzo często — zwyciężko wychodzić z dyskusyi.

Mastalerz bywało nieraz głowę sobie łamać: o czem panicz z panią mogą rozmawiać tak długo i szeroko, tak spokojnie, a zarazem tak żywo?... ale łamanie głowy nie na wiele mu się przydało. Gdyby mu kto kazał podsłuchiwać i zdawać sprawę z tego co mówili, znalazłby się pewno w wielkim kłopotcie. W końcu zaczęło go to nudzić... bo, zanim Roman ośmielił się zbliżyć do Stasi i towarzyszyć jej w spacerach, on to z nią gawędził i niejedno dla siebie i swoich u niej wyprosił. Aż tu na raz „pan rzędcą“ zajął jego miejsce, cały porządek pomieszał, mastalerza zaś zmusił do jechania z tyłu i drzemania na koniu.

— Na co ja teraz im potrzebny u licha! — myślał w duchu. — Łania chodzi spokojnie, panią prowadzi ją, jakby się na koniu urodziła... ot! tylko zmarnowanie czasu i koniec!

W domu, dopomógłbym babie w gospodarstwie: drew narąbał, wody przyniósł... hej! hej!... a tu, trzęs się, choć w krzyżu strzyka i jakoś człowiek całkiem nie domaga.

Ten monolog nasunął mu myśl, żeby jutro ze Stasią nie pojechać w pole.

Jak postanowił, tak się stało. W oznaczonej na spacer porze, doniósł do pałacu przez córeczkę:

— Że nie będzie mógł jechać za panienką, bo całkiem nie domaga.

Kiedy kredencierz przyniósł tę wiadomość pani Marcelinie, konferującej właśnie z Romanem o sprawach administracyjnych, młody człowiek rzekł do hrabiny:

— Jeśli kuzynka pozwoli, ja Stasi towarzyszyć będę.

— Dobrze — odparła pani Janowa, trochę jednak zdziwiona propozycją, ale pokrywającą, o ile się dało najtaktowniej, niechęć, jaką uprzejmość Romana dla córki w sercu jej obudziła.

W pół godziny potem przyprowadzono dwa konie pod okno hrabiego.

Roman dopomógł Stasi do wygodnego usadowienia się na damskim siodle, sam zaś, ze zręcznością akrobaty, wskoczył na swego wierz-

chowca. Oboje zwrócili się twarzami ku starcowi, nieruchomo siedzącemu w fotelu.

Stasia dostrzegła, że oczy pana Jana wyrażają coś więcej niż zdziwienie... że coś naksztalt obawy czy zazdrości zapaliło się w żrenicach ojca.

Pod lasem, w pobliżu porębu — gdzie cechowano drzewa, mające w zimie paść pod ostrzem siekiery — znajdowała się pasieka, urządzona według najnowszych wymagań postępowego gospodarstwa pszczelnego. Ku niej skierował Roman wierzchowca, jadąc obok panienki, z początku milczącej i zadumanej; myślała bowiem, co mógł oznaczać wzrok hrabiego, jakim ją pożegnał przy wyruszeniu w drogę.

Do pasieki było dość daleko.

Konie z miejsca szły powoli. Wkrótce i rozmowa się zawiązała, a z nią zwykła dyskusja. W miarę jak stawiała się żywszą i gorętszą, konie — mimowiednie odczuwające usposobienie jeźdźców — przyspieszały kroku. Z stępa przechodziły w klusa angielskiego, a niekiedy i w cwał chwilowy.

Chociaż Łania miała ruchy kołyszące się, niezmiernie łagodne, Stasia przybyła do pasieki nieco zmęczona. Rumieniec oblewał zwykle blade lica dziewczęcia. Upał letniego dnia obudził pra-

gnienie, które ugasić pragnęła. Roman zeskoczył zwawo z siodła, uwiązał swego srokocza u płotu i wpadł do dworka pasiecznika, aby poprosić o szklankę mleka, wiedział bowiem, że chłodna woda z pobliskiej studni mogłaby wątlęj Stasi zaszkodzić.

Tymczasem Stasia puściła wolno cugle kaszance, a sama — w myślach pogrążona — zaczęła zdejmować z prawej ręki popielatą, irchową rękawiczkę z wyhaftowaną na niej koroną i pierwszymi literami swęgo imienia i nazwiska. Rączka jej obnażona, delikatna, anemicznie biała, zlekka naznaczona jasno niebieskimi żyłkami, (mówiąc językiem spirytystów: rączka uduchowiona), wązka, długa, na palcach tylko, dzięki dziewictwu i chwilowemu znużeniu, trochę zaczerwieniona, wyciągnęła się po szklankę z mlekiem, którą właśnie Roman naprzeciw niej wynosił.

— Bardzo chłodne — szepnął młodzieniec. — Proszę pić powoli.

Stasia podziękowała. Potem zbliżyła szklankę do warg suchych i wolniutko — przyzwyczajona do słuchania rozkazów i rad, jakie jej udzielano, kiedy o zdrowie chodziło — wychylała do dna biały napój.

Nagle syknęła z bólu.

Szklanka wypadła z jej dłoni i stłukła się z brzękiem, uderzając o pień ściętego drzewa, dziewczę zaś, mimowolnym ruchem do ust podniosło rączkę.

— Co pani jest?.. co się stało? — zawołał Roman.

— Pszczoła! pszczoła! — jęknęła cicho panielka.

Młodzieniec szybko rzucił grubą, od konnej jazdy, łosiową rękawicę — wziął ramię Stasi, opięte wązkim rękawem amazonki, przyciągnął do siebie i spojrzał na rączkę. W pośród małego, zaczerwienionego spuchnięcia tkwiło żądło. Roman wydobył je zręcznie palcami... poczem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, na bolącym i opuchłym miejscu złożył pocałunek.

Oboje drgnęli.

Oczy ich się spotkały, a przez mętne i zamglone spojrzenia wydali się sobie zupełnie inni niż zwykle... Jacys nowi, odmienni... ona jemu dziwnie piękną, on jej zachwycającym. Ciepłe mrowie przebiegło po ich ciałach... W głowie szum... w skroniach tętna od krwi mało nie pękną... a w duszy błogość, dotąd nieznana.

Pocziwa Łania, jakby zrozumiała, że coś

niezwykłego stać się musiało, nie ruszyła się z miejsca, tylko wydłużyła szyję i strzygąc uszami, podzwaniała łańcuszkiem wędzidła, nie-ściągniętego w tej chwili wcale. Cugle z taśmy jedwabnej, błękitnej, zwisły przez grzywę i spadając ku ziemi wlekły się aż po mchu zeszlłym i żółkłym od upałów.

Na progu dworku stanął pasiecznik stary. Rękę do czoła przyłożył, żeby się od słońca zasłonić i patrzył na piękny obrazek, utworzony przez Stasię, Romana i Łanię, obrazek, oprawiony w ramy leśnej zieleni, lśniący cały od słonecznego oświetlenia. Snać widok podobny nie był dlań niemiłym, bo uśmiechał się dobrodusznie.

Pierwszy Roman ochłonął. Zobaczył pasiecznika i sięgnął do kieszeni po pieniądze.

— Stłukłem wam szklankę — rzekł głosem, łamiącym się jakimś dziwnym, a jednak harmonijnym dyssonansem. — Przepraszam.... i dziękuję.

To mówiąc, wyciągnął rękę z drobną monetą.

— Nie, nie... — odparł staruszek siwobrody. — Za szklankę nie wezmę pieniędzy, paniczku. Szkło stłuczone szczęście przynosi... To dobry znak!... Niech Bóg obojgu błogosławi.

Stasia nie pojęła ani wyrazów pasiecznika, ani jego przepowiedni w błogosławieństwie ukrytej, lecz Roman dobrze wszystko rozumiał, a chociaż pozytywista, nie zaprotestował przeciw przesądowi. Radosna nadzieja ani go przekupiła jeszcze, ani nawróciła... Milczał, bo po prostu nie miał sił do zaprotestowania. Ucałowanie tej delikatnej, białej, żądłem pszczoły ukłótej rączki, wstrząsnęło nim do głębi i wtrąciło w stan nieodzwanego dotąd wzruszenia.

Czuł, że nie panuje nad sobą, że rozum — w który wierzył — nie wspiera go obecnie, jak należy. Wolał czekać, później nad wszystkim rozwaźnie się zastanowić, aniżeli teraz napróżno mózg wysilać. Dosiadł więc konia i zapytał:

— Wracamy?

— Wracamy! — szepnęła Stasia prawie bezprzytomnie.

W pierwszej chwili jechali pozornie spokojni, milezący, zadumani, nie myśląc o niczem, a czując jednak ciężar znużenia pod czołem, jakby od wytężonego myślenia. W głowach ich panował zamęt, jak w gorączce. W luźnych, z błyskawiczną szybkością następujących po sobie obrazach tego chaosu, nie było najmniejszego związku. Kręciły się one gdzieś pod czaszką bez ładu i po-

rządku, to mieniać się jasnymi barwami tęczy, to rozplywając w chmurę ciemną.

Ruch koni, które nagle pokłusowały, zaczął ich nieco otrzeźwiać.

Myśl wyswobodzona z pod opresyi męczących, fantasmagorycznych złudzeń, zwróciła się do istotnej przyczyny tego stanu, grą kolorów zamajającej przed chwilą ich wyobraźnię. Nie wyrwała się ona jednak odrazu z krainy hallucynacji. Teraz, chociaż nie patrzyli na siebie, widzieli się ciągle... hamletowskim wzrokiem. Widma własnych ich twarzy unosiły się tuż przed nimi, nad głowami końskimi, objęte wirującymi kołami z błękitu i złota. Koła z początku małe, rozszerzały się powoli i olbrzymiały w powietrzu jak kręgi na wodzie, kiedy w nią kamień uderzy i nagle przedrze gładką, zwierciadlaną powierzchnię.

Po niejakiś czasie i te illuzye się rozwiały.

Konie szły znowu stępą.

Przypomnienie pocałunku, który Roman złożył na rączce Stasi wrócił im przytomność, ale zarazem obudził w ich sercach dawną nieśmiałość. Już im nie przeszło przez głowę wskrzesić jedną z przerwanych dyskusyj. Nawet nie rozmawiali z sobą. Niekiedy Roman bąknął po cichu

parę wyrazów urywanych, ale Stasia milczała. Czasem tylko wzdychali razem.

Nie mogli czy nie chcieli mówić?... Zdaje się, że nie mogli.

O kilka tysięcy kroków za pasieką, Roman zwrócił konia na lewo, ku porębie, przepraszając półsłówkiem towarzyszkę, że musi zatrzymać się tu chwilę, aby się dowiedzieć od leśniczego, ile drzew nacechowano do ścięcia. Machinalnie wysłuchał raportu oficjalisty, zanotował podane cyfry w małej książeczce, którą miał przy sobie i ruszył szybko naprzód... za Stasią, jakby się lękał, by mu nie uciekła. Na wąskiej drożynie, przez pole konieczyny, wiodącej ku dworowi, zrównał swego wierchowca z kasztanką. Wtedy odetchnął. Zdawało mu się, że się pozbył jakiegoś nieznośnego ciężaru, jakiejś dręczącej, a okropnej obawy.

Mileząc jednak jechali dalej.

Czasem srokacz (może równie jak Roman roztargniony, czy też drżący prowadzony ręką) najechał na Łanię i obtarł się o nią, przyczem noga zadumanego jeźdźcy dotknęła nogi Stasi lub zaplątała się w fałdy jej amazonki. Młodzieniec drgnął. Nagłem szarpnięciem odsunął wtył konia,

potem przejechał na przeciwną stronę, na prawo, szepejąc:

— Przepraszam.

Stasia skinęła główką, jakby chciała odpowiedzieć: „Nie nie szkodzi!“ Usta poruszyły się wprawdzie, lecz głos z piersi nie wyszedł. Gdyby przedarł się przez ściśnięte gardło, możeby krzyknęła, a możeby się rozplakała rzewnymi łzami. A jednak smutną nie była!

Milcząc jechali dalej.

Nagle... oczy ich spotkały się znowu równocześnie, jak tam przy pasiece. Wzrok tym razem nie mglisty, nie mętny, lecz wyteżony, przeszył źrenice i zanurzył się aż w głębinach duszy. W spojrzeniu Romana było coś tak rozkosznego, lecz i tajemniczego zarazem, że Stasia, jakby oślepią, schyliła główkę i przymknęła powieki. Roman zaś pokraśniał jak szesnastoletni wyrostek.

Teraz oboje marzący... a może i szczęśliwi... płynęli milcząc wśród bujnej, kwitnącej koniczyzny. Woń jej ich upajała. Serca kołatały im w piersi, a do harmonijnej zgody z biciem serca dostrajały się melodyjne pól odgłosy.

Anemiczny organizm Stasi, pod wpływem silnych wrażeń, wśród cudnej przyrody, uśmiechającej się blaskami słonecznymi i dojrzalszością

swoich płodów, ożywiał się źródłem krwi świeżej rozgrzanej, pulsującej w każdym tętnie, a chociaż popadała momentalnie w jakieś błogie omdlenie, czuła, że pomimo wielu osłabień jakie przeszła, podobnie miłego nie zaznała jeszcze. Dotąd w wątlej jej ciele mieszkała dusza szlachetna i umysł wzlatujący wysoko, krępowany jednakże nieraz w swym polocie brakiem sił fizycznych, lekkością z braku tego wypływającą. Bo duch, aby mógł spełnić, doczesne swe zadania, musi być wspierany przez ciało. Misyą uregulowania równowagi pomiędzy dwoma połowami istoty ludzkiej, u kobiet szczególnie, zajmuje się nieraz miłość. W opowiadanym przez nas wypadku, początek jej interwencji zdawał się rokować najpiękniejsze nadzieje.

Roman, który naczytał się mnóstwa studyów i rozpraw, badających miłość z filozoficznego punktu widzenia, a przez dumę czy skromność wrodzoną od uciech zmysłowych trzymał się zdaleka, jakkolwiek przytomniejszy od delikatnej panienki, mógł tylko obecnie skonstatować, że wrażenia, przezeń doznane, niepodobne do tych, o jakich czytał w mądrych książkach. Bo jak w naturze nie ma dwóch listków jednakich, tak nie ma

też także dwóch miłości zupełnie do siebie podobnych.

Nasza młoda para milczała ciągle.

Za koniczyną, wjechali na miedzę, przecinającą duży łąn jęczmienia, wznoszącego jeszcze tuż przy nich w górę wąsate kłosa, dalej zaś, na lewo, ciętego już przez gromadę żeńców.

Przodem szła kasztanka, za nią srokaty koń Romana.

Młodzieniec, nie zatrzymując się i chwili, wydał jakieś polecenie karbowemu, który kłaniając się panience i panu rządcy, zbliżył się wśród jęczmienia do miedzy; potem Roman podążył szybko za wyprzedzającą go Stasią, bo już nie daleko zieleniały wysokie drzewa parku, a pośród nich wyglądał czerwony dach pałacu.

Na gościńcu wysadzonym lipami przed bramą, konie zrównały się znowu. Tu usta rozwiązały się im nagle.

— Czy rączka boli jeszcze? — spytał Roman drżącym głosem.

— Już nie — odparła Stasia z anielskim uśmiechem.

— A nie gniewa się pani na mnie? — wyjąknął młody człowiek.

— O! nie!

W tem zaprzeczeniu i zapewnieniu zarazem było coś tak miłego dla ucha i serca, że Roman zachwiał się na siodle, jakby mu się w głowie zakręciło, jakby chciał się pochylić i znowu rączkę Stasi ucałować, ale wczas się opamiętał, bo właśnie wjeżdżali na trawnik, przed pałac, gdzie w oknie, oczekiwał na nich hrabia niecierpliwie.

Starzec spojrzał badawczo na Stasię, witającą go z konia pocałunkiem, przesłanym na końcu paluszków, potem na rozpromienionego Romana zsadzającego panienkę z kasztanki... i domyślił się widocznie wszystkiego, bo oczy jego zasłoniła chmura smutku.

Nazajutrz, lekarz — który odgrywał bardzo ważną rolę w życiu mieszkańców pałacu — zastał pana Jana zirytowanym i kwaśnym, chociaż hrabia od pewnego czasu miał się widocznie znacznie lepiej. Nie odzyskał on wprawdzie dotąd władzy zupełnej w sparaliżowanych członkach ciała, mógł jednakże już ręką poruszać, a bełkotanie, jakim myśli swoje wyrażał, stawało się co raz swobodniejsze i wyraźniejsze. O tych postępach jednak wiedział tylko: doktor, Stasia i kamerdynier. Za jakimś cichem, nieumówionem lecz wzajemnie odczutem porozumieniem, milczeli o tem przed panią Marceliną.

Lekarz, jak tylko wszedł, odrazu spostrzegł rozdrażnienie i niezadowolenie hrabiego, wyprawił więc Stasię z ojca pokoju i zaczął badać pacyenta. Po godzinnej, dość jeszcze utrudnionej konferencji, wyciągnął z pana Jana to, czego od niego dowiedzieć się pragnął.

— Panie hrabio — rzekł wtedy poważnie zacny eskulap — nie ma się czem martwić. Proszę mnie wysłuchać... a dopóki będę mówił, racz zachować się spokojnie i nie przerywać. W Stasi żylach płynie krew zubożała, bo państwo oboje nie daliście jej tego, co Słowacki nazywa: „życia fundamentem...“ Zdawała się skazaną na śmierć niewątpliwą... Sił do walki w malej istocie nie było wcale, a odrazu świat powitał ją z jednej strony obojętnością, z drugiej nienawiścią. My zaś... ludzie... bez miłości obejść się nie możemy.

Odetchnął i ciągnął dalej.

— Potrzebowała umiejętnego i starannego odżywiania, czem od jej urodzenia zajmowałem się gorliwie, dziś zaś... potrzebuje męża w pełni sił i zdrowia, aby ją kochał, bo już dziś miłość pańska jej nie wystarczy. Odpowiednim wydał mi się Roman w tym względzie, dlatego też przybycie jego powitałem z radością. Liczyłem na to,

że młodzi się pokochają. Żeby się tak stać mogło, poleciłem jazdę konną, jako środek higieniczny, wiedziałem bowiem, że inaczej, tu w tym pałacu, się nie porozumieją... Niech hrabia czoła nie marszczy... wiem, o co panu chodzi. Wprawdzie zadaniem mojem jest leczyć tylko ciało, lecz ponieważ należę do pokolenia, które wierzyło w poetów, powtarzam więc za jednym z nich z głębokiem przekonaniem: „Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła!...“ Niedosć na tem, lecząc według mojej specyalnej metody, baczę pilnie, aby tak jedno jak drugie skrzydło funkcjonowało należycie w harmonii do lotu, jaki im jest przeznaczony. Doświadczyłeś tego na sobie panie hrabio, bo lecząc cię nie zapomniałem o duszy...

Uśmiech wdzięczności wykwitł na bladych wargach paralityka. Doktor mówił dalej:

— Roman, jeśli pojmie Stasię za żonę, stanie się właścicielem ziemskim, obywatelem kraju, zajmującym jedno z najważniejszych, a może najtrudniejszych stanowisk u nas... Chociaż młody, marzyć już nie może o laurach uczonego; a tylko... w ścisłym znaczeniu tego wyrazu... uczonemu, dla posunięcia wiedzy naprzód, wolno nie wierzyć, wątpić, a nawet błędzić. Gdyby nie było błędzących po tajemniczych i rozległych obsza-

rach, niezbadanych dotąd moralnych i fizycznych dziedzin, nikt by na nich nie odkrywał dróg wiodących do postępu, który przecież jest pięknym celem... Że zaś do tego celu jeszcze bardzo daleko... tem lepiej, bo można być pewnym, że wiele pokoleń dążyć do niego będzie, pracując i przekształcając teorye dzisiejsze na inne, jaśniejsze, doskonalsze, większą sumę szczęścia zapewniające ludzkości. Kto wie?!... Może powrócą do starych, chrześcijańskich, wypróbowanych doświadczeń wieków!... Roman był materyalistą... No, no... znowu się hrabia chmurzy, a doprawdy nie warto... Już nim dziś nie jest, przynajmniej w takim stopniu jak wczoraj. Niech mi pan hrabia wierzy, wycieczki konne muszą poskutkować, a może już skutkują!... Roman podyskutuje jeszcze trochę, czas jakiś bronić będzie swoich zasad, ale w końcu Stasia... a raczej miłość go nawróci. Ręczę za to.

Czoło pana Jana, w miarę jak doktor mówił, rozpogadzało się i rozjaśniało coraz bardziej.

— Widzę, że mars z czoła znika. To dobrze... Powtarzam, że ręczę za powodzenie podwójnej kuracji... Widzi Pan; tylko fanatyk albo szaleniec, postawiony w warunkach społecznych i towarzyskich, nakładających na uczci-

wego człowieka poważne obowiązki, może upierać się przy czemś oderwanem, abstrakcyjnem, przy czemś, co z życiem praktycznem wszędzie nie ma nic wspólnego... u nas zaś, więcej niż wszędzie. Fanatykiem Roman nie jest. Grunt tego chłopca dobry... serce ma szlachetne, męskich cnót posiada dużo... Wierzał mi hrabio, będzie wielka pociecha z tego związku: dla ciebie, dla nich, dla okolicy... a może i kraju. Tylko pan musisz teraz myśleć o sobie, krzepić się... aby rzecz pożyteczną doprowadzić do skutku, bo przeszkód nie zabraknie. Pani Marcelina, która obecnie lubi Romana, jak się dowie o wszystkim, znienawidzi go niezawodnie... a wypisała już podobno dla Stasi z Warszawy jakieś słabe, scho-rzałe, lecz utytułowane paniątko, które pewnego pięknego poranku spaść nam może na kark nie-spodzianie i szyki pomięsząć.

Starzec podniósł w górę głowę z godnością, jakby chciał zapewnić, że oprzeć się potrafi, doktor zaś szeptął głosem urywanym, patrząc na pana Jana uważnie:

— Nie łudziłem dotąd hrabiego stanowczem zaręczeniem zupełnego wyzdrowienia... bo sam pewny nie byłem... teraz jednak mam nadzieję... że wkrótce wrócisz do zdrowia.

Paralityk jęknął, ale w tym jęku brzmiała nuta radości.

— Och! — i zamknął powieki.

Cisza zaległa pokój.

Po chwili hrabia otworzył oczy pełne blasku, poruszył z lekka ręką, i rzekł prawie wyraźnie:

— Dziękuję.

— Nie ma za co... Spełniłem i spełniam tylko mój obowiązek.

Starzec powtórzył z naciskiem:

— Dziękuję za wszystko — i po sekundzie dodał — jak przyjaciel dziękuję.

— Pragnę, aby hrabia miał swobodę ruchów i sił dostatek, kiedy przyjdzie moment stanowczej walki. Proszę zatem nie martwić się, nie irytować... i mieć ufność w Bogu!

— Dziękuję... raz jeszcze.

Zdawało się, że Jan poruszył się całym ciałem. Postanowienie niezłomne, wiara i odwaga odmalowały się na jego pooranem zmarszczkami obliczu; widać jednak było, że rozmowa z lekarzem zmęczyła go mocno.

Kiedy Stasia wróciła do pokoju, zdziwił ją niepomału wyraz oczu ojca, jakiś odmienny, pełen pieśczętliwej dla niej dobroci. Mniemała, że gniewa się na nią; tymczasem hrabia złożył na

jej czole pocałunek ciepły i czuły, który do głębi ją wzruszył.

Zdziwienie jej z każdym dniem wzrastało, gdyż paralityk nie tylko był dla niej niezmiernie serdeczny, jakby ją kochał stokroć więcej niż kiedykolwiek, ale — ile razy zdarzyła się sposobność potemu — okazywał także wielką życzliwość dla Romana... On, co przedtem, niemal widoku jego nie znosił!... To zachowanie się ojca, jeszcze bardziej zbliżało do siebie młodą parę. Spotykali się w sypialni hrabiego, rozmawiali przy nim głośno, nie ścigani jego ponurem niezadowoleniem, przeciwnie zachęcani do ożywionej konwersacji spojrzeniem łagodnym, łaskawem i sympatycznym dla obojga. Nadto starzec zdawał się cieszyć, kiedy dość często wyjeżdżali razem w pole, w las, do odległych wsi i folwarków, z których składały się dobra pana Jana.

Jak roślina zwiędła, zasadzona we właściwą sobie ziemię, otoczona opieką ogrodnika i odpowiednią jej temperaturą wskrzeszona do życia, rozwija się, krzewi i wzrasta — tak wątła dziewczeczka w ciepłej, odczutej, chociaż niezrozumianej przez nią samą atmosferze miłości, zamieniała się w dorodną pannę. Nietylko rumieniec wstydu i skromności, ale często już i rumieniec zdrowia

czerwień jej jagody. Mniej była łekliwą... czuła się wśród ludzi obcych swobodniejszą i pewniejszą siebie. Matka nawet, spojrzawszy na nią kiedyś niespodzianie, mimowolnego zdziwienia i zachwyty ukryć nie mogła.

— Śliczna dziś jesteś Stasiu — rzekła — Taką i ja byłam niegdyś.

Westchnęła przy tych wyrazach, lecz w westchnieniu jej mieściło się mniej goryczy, mniej złości i mniej żalu po utraconych nadziejach... Ach! bo któż nie ulegnie czarowi, jaki wdzięk młodości wokoło siebie roztacza!... A może egoistyczne wspomnienia o swoim dawnym *ja*, wywołało chwilowe uniesienie, mocniejsze bicie serca i dumę macierzyńską. Istotnie Stasia — zdrowa, wesoła, miła i hoża — przypominała bardzo pannę Marcelinę z przed zamążpójścia... Może hrabina uczuła po raz pierwszy, że odrodzenie się w dziecku własnem, to jedyne szczęście, jakiego w późniejszym wieku można pragnąć, jedyne, jakiego tu na świecie wolno się spodziewać.

Pomimo zapowiedzi doktora, wypisane z Warszawy schorzałe paniątko nie zjechało na wieś, podobno bowiem wygrało znaczną sumę w klubie myśliwskim i z wygraną udało się do Paryża.

Hrabia, chociaż czuł się coraz lepiej, nie

wstawał jednak jeszcze z krzesła o własnej mocy. Mógł mówić prawie wyraźnie, ale jakby umyślnie milczał ciągle, nawet wobec Stasi i Romana, a tylko z zacnym lekarzem i kamerdynerem Ignacym gawędził niekiedy, lecz wtedy jedynie, gdy nikogo innego nie było w pokoju.

Lato minęło, przeszła jesień... potem zima... i znowu wiosna odnowiła świat swoją cudną młodością barw, blasków i woni.

Z utrwaleniem się pogody, wycieczki konne wróciły na porządek dzienny. Mastalerz po kilkomiesięcznym odpoczynku uznał za stosowne towarzyszyć panience na spacerach. Teraz przeciągały się one czasem, prawie do zachodu słońca. Stasia, zaraz za bramą parku pytała berajtera, gdzie kuzyn znajdować się może i ku wymienionej miejscowości kierowała natychmiast swoją pocziwą klacz wierzchową. Nie знаła fałszu ani udania, w życliwości swej dla krewnego nie widziała nic zdrożnego, oddawała się więc cała erotycznemu prądowi, który ją ku niemu unosił i coraz bardziej zbliżał.

O miłości jednak, mowy między niemi nigdy nie było. Pocałunek pod pasieką stał się miłym wspomnieniem i punktem wyjścia do serdeczniejszej zażyłości... nic więcej. Zasługę w tym wzglę-

dzie przypisać należało przedewszystkiem Romanowi, on bowiem rozumiał doskonale, co się w jego piersi dzieje, a jednak nie chciał się zdradzić, oczy dzieweczce otworzyć i wtajemniczyć ją w swoje uczucia. Zdawało mu się, że nie powinien starać się otwarcie o jej względy, przez myśl mu zaś nie przeszło zdobyć podstępem rękę milionowej panny. Kochał ją więc z daleka, ubóstwiając jak ideał wymarzony, jak zjawisko wyjątkowe, poetyczne. Mniemał, że drugiej podobnej nie ma na świecie, czytywał bowiem dawniej dużo o ułomnościach, mało o cnotach kobiecych. To odrębne stanowisko, jakie Stasia zajęła w sercu i umyśle młodzieńca — naprzód w umyśle potem w sercu, — i zachwyt jego, który przebył ogniewą próbę krytyki i rozumowania, a wyszedł z niej zwycięzko, wreszcie nadzwyczajna skromność panienki, czyniąca ją podobną do anioła, podniosły kuzynkę nader wysoko w pojęciu naszego materialisty. Wpływ Stasi i moc oddziaływania nań, stokroć była silniejszą, niż by nią być mogła przy każdym innym powszedniejszym sentymencie. Kochając... nawet bardzo... inną osobę, byłby pozostał niezawodnie tem, czem go zrobiły lata nauki i otoczenie koleżeńskie; wobec Stasi zaś uległ, przekształcił się, niezdając sobie w pier-

wszej chwili sprawy ze zmian, jakie zaszły w jego wyobrażeniach. Nie wyparł się od razu swoich zasad, nie był bowiem ani miękkim ani słabym, ale czuł, że chwieją się w podstawach, że zarysowują się i kruszą u samych fundamentów.

Zdrowie, czyniąc Stasię weselszą i piękniejszą, nie rozebrało jej z szaty niebiańskiej, w jaką ją przyodziła smutne i słabowite dzieciństwo, a Roman, przebywający ciągle w towarzystwie tej eterycznej i wielce chrześcijańskiej istoty, zaczął wierzyć naprzód w uduchowanie eteru, później w chrystyanizm.

Patrzył, jak Stasia, w malutkim zakresie swojej panińskiej działalności, odnosiła względnie wielkie rezultaty, dzięki wrodzonym i nabytym przymiotom. Bo panienka pracowała nad sobą i rozmysłem, zastanowieniem, dopełniała zdobycze intuicji. Przedewszystkiem, otaczała ojca przywiązaniem i pieczołowitością bez granic. Roman spostrzegł nareszcie, że hrabia powraca do zdrowia, a tę cudowną rekonwalescencję przypisywał głównie staraniom Stasi. Następnie, chociaż wiedział, że biedaczka lęka się dotąd matki i z powodu tej obawy trzyma się od niej pozor- nie daleko, zauważył także, iż na każdym kroku

okazuje dla niej szacunek i uległość, tak, że pani Marcelina — jakkolwiek jeszcze bardzo często nienawistnym mierzyła ją wzrokiem, osobliwie w obecności męża — pod wpływem dobroci córki, pełnej poświęcenia, miękła niekiedy widocznie. Hrabina, zasklepiona w swej goryczy, przyzwyczajona do zmory zawodów i rozczarowań, ugniatącej jej pyszną duszę, broniła przystępu do swojej piersi wszelkim uczuciom, łagodzącym stare rozdrażnienia. Ale Stasia nie zważała na opór matki. Jak tylko doszła do wieku, w którym mogła poznać i ocenić położenie — wytworzone między rodzicami nie za jej pamięci — wnet przy każdej sposobności wlewała balsam w rozjątrzone rany. Była to rzecz trudna z takim jak pani Marceliny charakterem, zatem rzadko kiedy się udawała... Balsam prawie nigdy nie skutkował... lecz, bądź co bądź, córka obowiązkom swoim czyniła zadość.

Tak było w domu.

Za domem, działalność Stasi obfitszym cieszyła się plonem. Tu, rozumna dobroczynność, łagodność i dobroć goiły nie wymarzone lecz istotne rany społeczne, naprawiały szczątki starodawnych niesprawiedliwości, większych błędów, oraz smutne rezultaty zmian nagłych, które w swej

namiętnej, doktrynerskiej nieoględności wytworzyły nowe zastępy nieszczęśliwych, zarażonych rozpaczliwą ideą nienawiści. Tu dopiero naprawdę zachwycać się można było widokiem tej skromnej osobki, którą natchnienie jakieś boże uchroniło od przejęcia się jakąkolwiek wadą dziedziczną jednej czy drugiej rasy, z jakich wysnuł się jej żywot i organizm; tu trzeba było patrzeć, jak dzielnie i święcie reprezentowała narodowe cnoty. W tradycyi szukała tylko dobrych, zdrowych przykładów. Z frazesowego szychu, jakim przepełniają się łamy naszych wydawnictw, wydobywała tylko szczerozłote nici prawdy, dającej się praktycznie zastosować do urzeczywistnienia prawdziwego postępu. Ile łez otarła, ile waśni pogodziła, ile serc zjednała, ile fałszywych urzędzeń naprawiła, tam właśnie, gdzie bije źródło narodowego życia czy odrodzenia, to wiedzieli tylko: proboszcz, lekarz i Roman. To też ostatni, nawet w czynnościach swych gospodarczych, uważał panienkę za poprzednika, moralnym swym wpływem torującego mu drogę.

Wobec tego, co powyżej, nikt pewno dziwić się nie będzie, że młody materyalista, wolą przeznaczeń postawiony obok tak uroczej i tak gruntownie dobrej idealistki, nietylko nie pomyślał

o nawróceniu jej, lecz sam się nawrócił. Ubóstwiał ją przede wszystkim całą pełnią młodości — tem silniejszej, bo ukrywanej — namiętności, ale równocześnie wielbił w niej także wszystkie swoje własne szlachetne aspiracye, do urzeczywistnienia których — zanim ją poznał — zdążał odmienną ścieżką. Przekonany, że prostym gościńcem Stasi łatwiej i prędzej dojść można do celu, zmienił drogę, nieuwładniając tem wcale ani swojej godności osobistej, ani nawet rdzennej istocie swoich zasad. Zrozumiał, że chodzi tu tylko o formę, więc po walce wewnętrznej z dumą i miłością własną, poświęcił formę dla rzeczy. Te wszystkie zmiany jednakże odbyły się wewnątrz jego piersi, na pozór tak cicho i spokojnie, że Stasia nic o nich nie wiedziała. Może domyślała się pewnych delikatnych ustępstw dla siebie po nagłym przerwaniu dawnych dyskusyj, po pewnem zmodyfikowaniu sądu o rzeczach, niepodlegających metodzie pozytywnego badania, ale nie przeczuwała jeszcze, że młodzienciem duchem stoi obok niej tak blisko, że już większą część jej przekonań podziela.

Pewnego dnia — było to w pierwszej połowie czerwca — lud wiejski równo ze świtem spieszył na odpust do klasztoru i kościoła OO.

Bernardynów, oddalonych o półtorej mili, gdzie obraz św. Antoniego Padewskiego sływał cudami.

Po gościńcu, wijącym się wśród wiosek, dalej nad stawem, potem przez las, następnie po wzgórzach, wznoszących się i piętrzących ku wyższemu od innych pagórkowi, na którym bieleły się w jasnym słońcu mury klasztorne i kościelne, jechała Stasia na kasztance, przy niej Roman na swoim srokatym koniu; za nimi mastalerz, na gniadoszu. Chłopi i chłopki, mieszczanie i mieszcanki, służba dworska i oficjaliści: pieszo, na furach, bryczkach, wózkach, biedach, a nawet konno na krępych podjezdkach, zdążając żwawo ku świętemu miejscu, kłaniali się życzliwie panience i paniczowi i pozdrawiali ich staropolskiem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na co młoda para odpowiadała jakby jednym głosem:

— Na wieki wieków!

Stasia i Roman pozwalali się wszystkim wyprzedzać, co może irytowało trochę mastalerza, który chętnieby gniadosza popędził, aby czem prędzej znaleźć się na pagórku klasztornym, zobaczyć z kumami, a może i ufetować w austeryi, bo kiedyż sobie pozwolić, jeśli nie w dzień,

w którym wiadomo, że Pan Bóg łatwo grzechy odpuszcza, przez miłość dla świętego patrona, który za życia tak się zasłużył, a i po śmierci łaski świadczyć może. Ale panienka, i dziś, i zawsze, ustępowała z drogi ubogim w duchu, a spieszącym do świątyni pańskiej, miała bowiem, że ich to właśnie — jako najukochańsze dzieci — Chrystus, w domu swoim, pierwszych rad powitać.

W nocy deszcz padał; kurzu na drodze nie było, nie potrzebowali zatem na bok zjeżdżać, a ruch, który na gościńcu panował, te twarze, dobrze znajome i obojgu miłe, zajmowały, nęciły i zatrzymywały młodą parę. Przyroda uśmiechała się do nich bogactwem swej ślicznej, czerwcowej zieloności; wieśniacy i wieśniaczki uśmiechali się do nich jak do swoich przyjaciół i opiekunów; czuli się więc szczęśliwi, zwłaszcza że przy pogodnym dniu i wobec radosnych a przychylnych twarzy, serca ich były tak zgodnie... tak zgodnie!

Na skrócie drogi spotkali wózek doktora, powracającego z klasztoru.

— Jakto! już z odpustu? — spytała Stasia, podając pocziwemu lekarzowi wyciągniętą rączkę.

— A już!... Każde z nas ma swoje obo-

wiązkowe nabożeństwo. Ja odprawiłem prymaryą przy chorym braciszku Serafinie, teraz jadę na sumę do miasteczka, gdzie czeka na mnie Balbina Lekka, z wcale ciężkiem zapaleniem oskrzeli.

Ścisnął podaną rękę. Potem zwrócił się do swego woźnicy:

— No, Jacku!... ruszaj! — Przyczem, zegnając oboje kapeluszem słomianym i odwracając się ku nim na toczącym się już wózku, zawołał z dobronudszym uśmiechem na rozwartych ustach: — Do widzenia! Zobaczymy się na obiedzie... we dworze!

Żwawym, choć dobrym kłusem, uniosły wózek dwa dzielne mierzynki, tak że po chwili znikł z oczu, zasłonięty garbem jednej z falistych wyniosłości, po których słała się tu droga, nad rozległymi łąkami i rzeczułką, wijącą się po nich srebrnym wężykiem.

W miarę zbliżania się do kościoła, tłum ludu z bliższych i dalszych okolic zwiększał się i zbijał w gwarne mrowisko, tak, że u stóp klasztornej pagórka trzeba było zsiąść z koni. Roman zeskoczył pierwszy, po nim mastalerz i we dwóch razem zsadzili Stasię z siodła. Następnie pierwszy wziął cugle wszystkich trzech wierzchowców do ręki i odprowadził na bok zmęczone

konie. Drugi zaś podał panience obszerny i długi płaszczyk, którym Stasia otuliła się, upiawszy naprzód amazonkę jak suknię w taki sposób, iż nie kępowała jej ruchów. Skromna dziewczeczka, ukryta za dużym drabiniastym wozem, wysłanym słomą, dokonała toaletowego dzieła przy pomocy wiejskiej kobiety, pilnującej fury i oczekującej na męża. Poczem Stasia poprosiła o książkę do nabożeństwa, którą jej mastalerz doręczył, wyjąwszy z torby, przewieszanej przez ramię, w której i płaszczyk przed chwilą się ukrywał. Książką tą, tylko co odebraną — oprawną w aksamit i spiętą na srebrne klamry — wskazała na kamienne schodki, pnące się po zielonym, dzikim agrestem porośłym boku wzgórza:

— Wszakże pójdziemy tedy? — spytała.

— Tak... tedy — odpowiedział Roman, poruczając kasztankę, srokatego i gniadosza straży berajtera. — Tym sposobem prędzej dojdziemy i nie będziemy zmuszeni przeciskać się wśród tłumu. — Odwrócił się ku mastalerzowi. — Proszę tu na nas z końmi zaczekać... Wrócimy za godzinę.

— Niech jednak Michał wejdzie choć na moment do kościoła, aby się pomedlić — dorzuciła Stasia. — Konie można oprowadzić jaką boczną

ścieżką i pozostawić w karczmie, gdzie nas przecie znają.

— Dobrze, proszę panienki — odparł wesoło Michał, rad, że interwencya Stasi ułatwia mu spotkanie z kumami. Może przytem da się gardło odwilżyć, bo co boskie można Panu Bogu złożyć w ofierze, a jednak przyjąć poczęstunek i kieliszka wódki za kołnierza nie wylać.

Stasia i Roman, wstępując po omszałych stopniach, ułożonych z nierównych kawałów piaskowca, widzieli jak po pochyłości — zbiegającej od drogi aż do rzeki — wyminał zręcznie fury i rojące się w pośród nich zastępy wieśniaków, wiodące konie ku rodzajowi rynku, targowiska, czy też wielkiego podwórza, przed laty wyrąbanego w skale i otoczonego z dwóch stron, łamiącym się pod kątem prostym murem klasztornym, z trzeciej zaś rzędem domów, w pośród których dominowała — wysokim dachem pokryta — olbrzymia austerya.

Z tego podwórca, zapełnionego mnóstwem kramów, straganów i namiotów z obrazami, różańcami i medalikami, wspinały się także ku kościołowi — ale szerokie i starannie wyciosane — drugie schody kamienne, granitową opatrzone poręczą. Na samym ich szczycie, przy

kracie żelaznej, zamykającej bramę — uwieczoną ostrołukowem sklepieniem i krzyżem — ciągnęła się balustrada, tworząca rodzaj ganku, wyłożonego kwadratowemi płytami. Zdobiły ją po rogach dwie statuy w barokowym stylu. Figura na prawo wyobrażała św. Antoniego Padewskiego; na lewo, św. Franciszka z Asyżu. Ztąd oko sięgnąć mogło na milę i nacieszyć się cudnym widokiem. Tu również dobiegały stopnie, któremi Stasia i Roman skrócili sobie drogę do świątyni.

Krata otwarta była na rościę, bramą bowiem przypływała i odpływała żywa fala pobożnych.

Za kratą małe, czworokątne podwórze z granitową posadzką — (a z pęknięć jej i szczelin wyglądał mech zieleniejący i chude, wysmukłe trawki) — objęte zewsząd pożółkłemi od deszczów ścianami, przyozdobione tablicami grobowemi z czarnego marmuru, obramowanego piaskowcem i płaskorzeźbami pomników, było literalnie zapchane ludem. Chłopi jednak, na widok dobrej panienki i panicza, rozstąpili się, pozostawiając im wolne przejście do kościoła.

W kościele ścisk jeszcze większy, szczególnie przed cudownym obrazem.

Promienie słoneczne, kłócąc się z płomkami świec gorejących, ślizgają się po złożonych ołtarzach, przy których księża świeccy i zakonnicy w bogatych ornatach odprawiają msze ciche. Od czasu do czasu słychać dzwonek, a po dzwonku jęki, wydobywające się z setnych piersi klęczących i pochylających czoła prostaczków. Woń świeżych kwiatów miesza się z wonią kadzidła, unoszącego się w postaci siwych obłoczków. Tyle tu życia, tyle różnych dźwięków i odgłosów, a jednak spokój taki dziwny, taki sprzeczny z wrzawą zewnętrzną.

Stasia ukłękła na stopniach jednego z ołtarzy. Otworzyła książkę do nabożeństwa i długo z niej czytała. Potem machinalnie zamknęła książkę. Przypomniała sobie pacierz dziecienny, w którym prosiła Boga o zdrowie dla taty i siły dla mamy do zniesienia nieszczęść. Ten pacierz, ta prośba, której nie rozumiała niegdyś, obudziła dziś w jej główce tysiączne myśli, obejmujące od razu całe położenie obecne. I teraz błagać musiała Boga o powrót do zdrowia ukochanego ojca, o zmianę usposobienia matki, która przez gorycz swą i nienawiść musiała być bardzo nieszczęśliwą! .. Ale... w modłach gorących... w egzaltacyi, porywającej jej ducha w sfery nie-

bieskie... w marzeniach pobożnych, jakie ta egzaltacja stwarzała... tam gdzieś na smugach obłoczków niebieskich, z kadzielnic wzlatujących w górę... obok ojca i matki... stawał ktoś trzeci... bliski i daleki... taki dobry, a nie wierzący... O! gdyby uwierzył!

Pograżyła się w modlitwie żarliwej, pełnej wiary, nadziei i zachwytu.

Roman oparł się o filar, pękiem gotyckich, wązkich kolumn wznoszący się lekko aż pod stopy ostrołukowego sklepienia. Patrząc na modlącą się panienkę, sam pograżył się w myślach. Z początku, miał oczy szeroko rozwarłe, ale po chwili je zmrużył, jakby go światło raziło. Pomimo to, obraz jej tak głęboko wrył się w jego duszę, że widział ją ciągle, chociaż zasłonił źrenice ociężałymi, znużonymi powiekami. Stan, w którym się znajdował, można było porównać do takiego snu, w którym bezwładność ciała łączy się z przytomnością ducha. Duch też z niego się wyrывał i szybował gdzieś w krainach rozmarzenia i miłości... swobodny, wolny, niekępowany więzami zwyczajów towarzyskich, względami majątkowymi, obowiązkami honoru, godnością osobistą, która kazała mu uczucia swoje w głębi piersi ukrywać. Im goręcej marzenie

jego — nawpół realne, na wpół senne — obejmowało przedmiot ukochany, tem ściślej bratał się z rzeczami niebieskimi... tem goręcej uczuwał potrzebę modlitwy... spowiedzi przed aniołami. Wreszcie ciało zespoliło się zupełnie z myślą i myśli poddało. Kolana zachwiały się pod nim, i — dotąd stojący — ukląkł także, wśród klęczących wieśniaków.

Stasia modliła się jeszcze długo... a gdy powstała, ujrzała z nieopisaną radością, że jedna z jej próśb wysłuchana... Roman wierzył.

Teraz ona oparła się o filar i z dziękczynieniem w całym wyrazie twarzy wzniosła czoło w górę... Młodzieniec powstał... Oczami zaémionemi od łez, szukał jej wokoło... Wtedy dziewczę samo wyciągnęło do niego rączkę i szepnęło z głębokim wzruszeniem:

— O!... pan nie ma pojęcia... jaka ja dziś szczęśliwa!

On miledzał, ale wzrok jego mówił, co w duszy się dzieje.

Stasia — po raz pierwszy oparta na ramieniu Romana — przeszła przez kościół i czworokątne podwórze... Zatrzymała się dopiero na ganku, przy balustradzie, nad schodami, zbiegającymi na dół ku targowisku odpustowemu, na

którem wrzał ruch niemal jarmarczny. Dolatywała zeń wrzawa... gwar tysięcznych, zmieszanych z sobą głosów, ale oboje go nie słyszeli, upojeni wewnątrznie i zapatrzeni w przestrzeń zieloną, która się tu rozciągała od stóp góry klasztornej aż w dal milową.

Za kobiercem łąk, zroszonych wodami w zyzak skracającej się rzeczki — tonącej następnie w błyszczącej szybie stawu z grobelką, młynem i tartakiem — ciągnęły się pola pochyłe, jak materye tureckie uwzorowane pasami o rozmaitych odcieniach zieloności, urozmaicone na skrajach wioskami, bielejącymi wśród sadów. Dalej, z zagłębienia zasłoniętego pagórkiem najeżonym zębami, z darni wyskakującymi skałami, wyrzała się wieżyczka z krzyżem i dachy wyższych domów miasteczka. Jeszcze dalej, piętrzący się ku błękitnemu sklepieniu niebios widnokrąg, zamykała smuga lasów... ciemniejsza, gdzie bór był sosnowy, jaśniejsza, gdzie zagajenie składało się z drzew liściastych. Nad tem wszystkim, słońce nieco ukośnie rzucało promienie, przebiegło bowiem już większy kawał swej codziennej drogi.

— Ach! jak tu pięknie! — rzekła Stasia

z westchnieniem, mimowolnie wrywajacem się z jej piersi, przepełnionej niewymowną radością.

— Śliczny dzień — dodał Roman, który na świeżem powietrzu odzyskał zmysły.

— Jacy my dziś szczęśliwi!

— O! bardzo... bardzo!

Upojenie, jakie wynieśli z kościoła, wzrosło. Ręce ich splotły się w czułym uścisku. Stali nieruchomi, pogrążeni w błogiem, rozkosznem rozpamiętywaniu czy dumaniu.

Wtem, po schodach wbiegł na ganek malarz zdyszany, widocznie trochę podchmielony i krzyknął:

— Proszę panienki... proszę panicza... nie-szczęście się stało!

Ten wyraz tak przykry — zwłaszcza w tej chwili — obudził ich z zadumy.

— Co?... co? — pytał Roman przerażony.

— Pozostawiłem konie w karczmie, jak panienka kazała, a sam poszedłem do kościoła... Wracając, spotkałem znajomych... kumów... Porozmawialiśmy z sobą trochę, potem oni mnie poczęstowali... piwem... dość, że się człowiek cokolwiek zabawił, ot! proszę państwa, jak na odpuscie!... Wtem, spojrzę w górę, widzę że panienka i panicz już wyszli, biegnę więc du-

chem do stajni... ale w stajni nie ma koni. Szukam wszędzie... koni ani śladu. Pytam o gospodarza zajazdu... gdzieś się zawieruszył!... Może kazał zaprowadzić konie do szopy przy chacie, co ma pod młynem, bo się chłopskich szkap do karczmy napchało co niemiara... a może, Boże broń, kto ukradł...

— A! więc to Michał nazywa nieszczęściem! — powiedziała Stasia z anielskim na ustach uśmiechem. — Proszę pozostać i poszukać. Zguba się znajdzie niezawodnie... My tymczasem pójdziemy piechotą...

— Może państwo zaczekają w austeryi... ja skoczę do młyna...

— Dobrze!... jednak pójdziemy...

— Ale... — chciał protestować Roman, zaniepokojony nieco.

— Nie ma się czego lękać... tu, nikt koni ukrąść nie mógł!

— Pani się zmęczy... do dworu półtorej mili...

— Nic nie szkodzi... Prawie pragnęłam przechadzki pieszej. Zresztą Michał nas wkrótce dogoni.

Mastalerz uśmiechnął się zadowolony, że tak łatwym podstępem zdobył możność powtórnego

uraczenia się z kumami. Roman zaś, wraz ze Stasią, zaczął schodzić — nie szerokimi schodami, gdzie jeszcze roily się tłumy, bo przez nie, potrzebaby było długo się przeciskać — lecz stopniami ułożonemi z nierównych kawałków piaskowca, któremi — kilka godzin temu — wdrapali się na górę.

Młodzieniec, z przewieszonym przez ramię płaszczykiem, który Stasia zdjęła zaraz po wyjściu z kościoła, siedł pierwszy, niemal twarzą do panienki zwrócony i podawał jej rękę. Ona opierała się na niej i zeskakiwała z porośłych mchem głazów... szczęśliwa, wesoła, jak ptaszek!

Na dole, znaną drogą puścili się ku pałacowi.

Z początku szli dość prędko, później coraz wolniej... coraz wolniej... Utonęli w rozmowie. Nie patrzyli na uroczą okolicę z ciągle zmieniającymi się widokami, nie słyszeli jak wieśniacy, wracający z odpustu, pozdrawiali ich starodawnem: „Niech będzie pochwalony!“... widzieli tylko siebie, tylko siebie słyszeli. Głosy ich dźwięczały cudną muzyką miłości, a jednak nie wymówili dotąd wyrazu: kocham. Cienia hipokryzy i udania nie było w tej skromności z jednej strony, a szlachetnej ostrożności z drugiej. Prze-

ciwnie, oboje tak zapomnieli o wszystkim, co nie było miłością, iż nie spostrzegli nawet, że słońce zaszło i że w około nich dobrze się już ściemiło.

Chłód powiał od łąk wilgotnych.

Roman pierwszy uczuł zimny powiew, przejmujący go dreszczem, zatrzymał się więc wśród gościńca, aby na ramiona Stasi płaszczyk zarzucić. Kiedy to czynił, ujrzał łunę w stronie pałacu.

— Pali się! — krzyknął.

— Gdzie? — zapytała Stasia strwożona jego krzykiem.

Podniosła się na palce, aby dalej sięgnąć wzrokiem.

— Nic dostrzedz nie mogę — rzekła — biegnijmy tam, na wzgórek z niego dwór i całe dworskie otoczenie, chociaż oddalone, widne jak na dłoni.

Pobiegli.

Pałac palił się istotnie. Z dachu, nad apartamentem hrabiego buchały płomienie pomarańczowe, a dym czerwony — wśród względnej ciszy, jaka panowała w powietrzu — kłębił się i ulatywał prosto w górę. Z tego lejkowatego słupa dymu, wznoszącego się wysoko, sypały się

niekiedy iskry, przy których bladły gwiazdy, rozsiane już po ciemnym niebios szafirze.

— Mój ojciec! — zawołała Stasia — mój biedny ojciec!

Zakryła twarz i po chwili dodała szeptem:

— Czyż w parze z wielkiem szczęściem... i nieszczęście iść musi?!

W głosie jej dźwięczał ton rozpacz. Teraz dopiero zadrżała całym ciałem, jakby ją mrozące zimno do szpiku kości przejęło.

— Niech się pani nie lęka... — widzę ratujących...

— Ale nas tam nie ma!

Nagle zatętniło coś na drodze... To Michał nadjeżdżał z końmi.

W mgnieniu oka Stasia i Roman dosiedli wierzchowców i popędzili cwałem. Za nimi zdążył, jak mógł, niedość pewnie trzymający się na siodle mastalerz.

Kiedy wpadli przed dwór, ogień już był ugaszony.

Doktór, przy pomocy oficyalistów i służby, pokierował ratunkiem tak umiejętnie i energicznie, że wszelkie niebezpieczeństwo zażegnanem zostało. Aby z ukrytej jakiej iskiej nie wybuchł nowy pożar, na dachu i na pierwszym piętrze

czuwała straż, złożona z kilkunastu dworskich, zaopatrzona w wodę i w narzędzia ratunkowe. Gontowe pokrycie starego gmachu w części spaliło się po części zaś je rozebrano, szczególnie od strony, gdzie znajdowała się sypialnia pana Jana, w niej bowiem powstał ogień przez zajęcie się firanek od świecy, nieostrożnie przez Ignacego na oknie pozostawionej.

Na parterze, w pośrodku dawno nieotwieranego, sklepionego salonu, stał hrabia. U nóg jego klęczała pani Marcelina płacząca. On zdawał się ją uspakajać.

Stasia rzuciła się ojcu w objęcia.

— Nic ci się złego nie stało?!... nic?... powiedz!

— Przeciwnie, wyzdrowiał! — rzekł lekarz uradowany.

— Zdrów zupełnie?... o! dzięki ci Boże! — krzyknęło dziewczę.

— Przestrach... a raczej doktor, nasz przyjaciel, mnie uzdrowił — mówił starzec wyraźnie — jemu należy się wdzięczność...

— Nie mnie, nie mnie panie hrabio. Przestrach cudu dokonał — wtrącił poczciwy Eskulap, zacierając ręce. — Cała moja zasługa, że

przysposobiłem ducha i ciało, aby zniosły nagłe przerażenie!...

— I hrabina zdrowa — ciągnął pan Jan dalej. — Na jej ramieniu wsparty, zszedłem na dół. Ona pierwsza z pomocą przybiegła, kiedy napróżno na ludzi wołałem... Mówiliśmy przed chwilą z sobą długo... szczerze... serdecznie... Po tej rozmowie, mama zapewniła, że nas kocha... ciebie... mnie... i zgadza się na wasze połączenie... z Romanem.

— Och! — zawołała Stasia i nachyliła się ku matce, aby ją podnieść.

Pani Marcelina jedną ręką objęła córkę za szyję, drugą złożyła w dłoni męża, ale wciąż jeszcze płakała.

Wielka gorycz jej serca upływała widocznie wraz z łzami.

Roman — popchnięty naprzód przez lekarza — całował naprzemian rączki Stasi i ręce rodziców ukochanej.

Stary kamerdyner, jakiś dumny i rozpromieniony, z serwetą na ramieniu ukazał się na progu.

— Moi państwo łaskawi — rzekł doktor — dość już tych czułości. Napracowałem się przy pożarze, więc głodny jestem jak wilk... a tu

właśnie już obiad podano. Uczyniwszy zadość ducha potrzebom, nie zapominajmy i o ciele, bo jak słusznie powiedział poeta: dusza i ciało to tylko dwa skrzydła!...

DRUGIE DZIECKO.

Gronerowie mieszkali na przedmieściu, zwanem Piaski, w małym, parterowym, że tak powiemy konserwatywnym dworku, który jakby nadąsany na otaczające go ładne, piętrowe świeżo wybudowane domy, odwrócił się do ulicy plecami, nie patrząc na nowoczesne, postępowe konstrukcje. Istotnie, boczył się on pod kątem rozwartym, dwoma, nieopatrzonemi w okna i drzwi ścianami — i stał tak jakoś ukośnie do chodnika, wybrukowanego drobnemi polnemi kamieniami, że się zdawało, iż nie chce mieć nic wspólnego ze sprawami wązkiej arteryi przedmiejskiego życia, że się od nich usuwa. Chociaż murowany, pochylił się od północy ku południowi na ogród — o tyle jasny i wesoły, o ile uliczka była ciemna i smutna, i cały utonął w tym ogródku, pełnym grusz, jabłoni, malin, agrestów, porzeczek i kwiatów. — Było to właśnie na wiosnę, więc drzewa owocowe, upudrowane białym i blado różowym kwieciem, rozścielały swoje szerokie korony, niby

olbrzymie bukiety balowe, nad jasną zielonością krzewów. Tu i owdzie, z pośród tych ostatnich wychylała się lilia biała, *corona imperialis* pomarańczowa i irysy o fioletowych lub błękitnych barwach, podobne zdaleka do zatkniętych na dzidy hełmów z pióropuszcami, dumnie strzelającymi w górę.

W szczupłych lokalach dworka gnieździło się sporo rozmaitego rodzaju biedactwa. Do najzamożniejszych należeli Gronerowie. To też ich mieszkanko, dość duże, schludnie wapnem wybielone, stosunkowo do innych nader starannie urządzone i bardzo porządnie utrzymane, wyglądało prawie wspaniale.

Wchodziło się doń z niewielkiego podwórza, na zachód położonego, po dwóch stopniach kamiennych, przez próg wysoki i maleńką sioneczkę do kuchenki, lśniącej od czystości. Tuż zaraz przylegał salonik, z podłogą wprawdzie deskową, ale pomalowaną farbą olejną, tak niemal świecąca się, jak woskowane posadzki pałaców. Na niej — od drzwi wchodowych do kanapy w jednym kierunku, do komody w drugim i do sypialnego pokoju w trzecim — wiodły dywaniki w pasy dwukolorowe, chroniące podłogę od zadeptania. Kanapa, otoczona kilku fotelami, stała

na czworograniastym wołokowym kobiercu w jaszkrawe, niby wschodnie wzory. Przed nią rozpie-rał się duży stół orzechowy, owalny, pokryty białą, ażurową serwetą ręcznej roboty. Stół przyozdabiała lampa z mlecznym kloszem i kominkiem szklannym, od spodu baniastym, u wierzchołka cylindrowym, uwieńczonym malutką czerwona włóczkową rogatywką z siwym, także włóczkowym barankiem. Nad kanapą, pochylało się zwierciadło w ramach orzechowych z rzeźbionym *kopfsztykiem*, wyobrażającym orła krakowskiego w bramie starego obronnego grodu. Z prawej strony lustro wisiało, objęty złożonemi listewkami, portret Franciszka Józefa, cesarza austriackiego w huzarskim mundurze, z lewej zaś wizerunek pięknej cesarzowej Elżbiety, w toalecie balowej. Na przeciwległej ścianie, nad komodą, na której grupowały się symetrycznie ustawione filizanki w kwiaty, figurki porcelanowe i wyroby z soli, przywiezione z Wieliczki, czernił się duży *landschaft*, przedstawiający tragiczną śmierć księcia Józefa Poniatowskiego, ginącego w nurtach Elstery. Obok niego wisiały: Kościuszko w chłopskiej białej sukmanie na wspinającym się koniu, Ludwika i Ferdynand z Schillerowskiego dramatu *Intryga i miłość*, król Jan III w złoci-

stej, łuskowej zbroi, oraz młodzieńczy „Nurek“ w chwili gdy:

Zrzuca pas z siebie, żywo płaszczy odpina,
A ta odwaga w koło przestrach szerzy,
Dziwi niewiasty i mężnych rycerzy.

Wiersze te wydrukowane były pod *kopersztylem* w oryginalnym tekście niemieckim.

Nade drzwiami do sypialni tworzył rodzaj sopraportu medalion gipsowy, z wierzchu bronzowany, dość znacznych rozmiarów, wyobrażający Józefa Ignacego Kraszewskiego z doby jubileuszowej. — Serwantka oszklona z mnóstwem świecideł i kilka wiedeńskich krzeseł giętych dopełniało umeblowania salonu. — Wokoło okien zwieszały się białe firanki, suto zmarszczone, a z poza przeźroczystego ich muślinu wyglądały doniczki z roślinami zagranicznymi: geranie i pelargonie o liściach aksamitnych, fuksye obsypane amaranrowemi dzwoneczkami, rozmaryn wonny i parę drzewek cytrynowych. W drugim pokoju stały dwa łóżka jesionowe, jednakie, nader starannie zasłane, szafa na odzież, umywalnia i półeczki trzecinowe z gracikami kobiecemi. Ze ściany nad łózkami wyzierała ciemna twarz Matki Boskiej Częstochowskiej w złocistej sukience, z ubrylantowaną szkiełkami koroną na głowie. Lampka pą-

sowa, zwieszająca się nad nią na mosiężnych łańcuskach, dniem i nocą świeciła migotliwym, jaskrawym płomykiem. Poniżej dbała o ład ręka zaczepiła na haczykach, równolegle w dwa rzędy powbijanych, fotografie rodzinne, w ramach z niepoliturowanego drzewa, powycinanych w gotyckie esy floresy.

Cały ten apartamencik niewytworny i, jak widzimy, urządzony bez smaku, uśmiechał się jednak wdziękiem sobie właściwym i jakąś ujmującą serce dobroduszną wesołością. Tak tu było czysto, jasno, promiennie, choć nieartystycznie i niebogato, iż zdawało się, że chyba tutaj szczęście mieszkać musi.

Adolf Groner, jako jeden z niższych urzędników magistratu, pobierał niedużą pensyjkę, ale posiadał na Szląsku zamożne rodzeństwo: siostrę, szwagra i dwóch braci, współwłaścicieli i kierowników małej fabryki płótna, którzy od kapitałiku, jaki w spadku po rodzicach przypadał nań w udziale, uiszczali należny mu procent regularnie, dwa razy do roku. Kontentował się on odsetkami, bo nie chciał bliskim sobie krzyżować interesów, zwłaszcza w czasach ogólnego zastoj. Od urodzenia słabowity, melancholik, żył nader przyzwoicie, spokojnie, uczciwie, ale niewesoło.

Młodości prawie nie zaznał, chociaż był przystojnym mężczyzną. Na jego twarz bladą, okoloną czarną brodą, na jego oczy piwne wciąż zadumane, mgliste, marzące, bardzo ładne, patrzyły panny i dziewczęta z zajęciem, lecz on na to nie uważał. Dzień spędzał w biurze, wieczór w domu na wycinaniu ramek do fotografii. Służyły mu do tego niepoliturowane, machoniowe i dębowe deszczułki, wyjęte ze starych pudełek od cygar, i cały warsztat pilek, pilników, dłutek i nożyków. Praca to była żmudna, wymagająca cierpliwości, lecz tej Adolfowi nie brakło, to też wykonywał filigranowe ramki w gotyckim stylu, istotnie bardzo zręcznie i misternie. Dobry, łagodny, pocziwy, tak jakoś przy swoich biurowych i domowych zajęciach zdrewniał w samotności, tak do szerszych i rozleglejszych widnokręgów nie wzdychał, tak uspokoił serce i zmysły, że można go było posądzić o egoizm. — Tymczasem egoistą nie był wcale, prędyj bezwiednym, z wrodzonego usposobienia mizantropem, jakkolwiek nie zdawał sobie sprawy z pesymizmu, obficie od krwi płynącego w jego żyłach; bo krwi widocznie było w nich bardzo mało.

Już liczył przeszło lat trzydzieści, kiedy zaziębił się i zapadł na ciężkie zapalenie płuc, z któ-

rego ledwie się wygrzebał, dzięki staraniom, jakimi go otaczano w szpitalu; wszędzie bowiem, gdzie tylko czas jakiś zabawił lub posiedział (a jak w tym razie przeleżał), oceniano przymioty charakteru Adolfa należycie i szanowano go jako porządnego i dobrego człowieka. Wszędzie był nawet lubiany, chociaż nie bardzo uprzejmy ani rozmowny, ani ochoczy, ani otwarty. Przeciwnie, skrytym można go było nazwać. Nieraz parę godzin przepędził w liczniejszym towarzystwie, ust nie otwierając, a już uśmiechu to nikt prawie na nich nigdy nie oglądał.

W czasie choroby bracia odwiedzali go dosyć często, okazując mu wiele przychylności, a siostra — kiedy już na rekonwalescencyę przeniósł się ze szpitala do mieszkania — przyjechała pielęgnować go i zająć się jego kawalerskim gospodarstwem. Przykro jej było patrzeć na stan finansowy i moralny Adolfa, powracającego powoli do zdrowia, lecz zarazem i do swego zwykłego, cichego spokoju, a raczej smutku; więc zaczęła go namawiać, aby się ożenił, bo jak twierdzi przysłowie: „ten się tylko na dobre odmieni, kto się ożeni“, a w przykazaniach kościelnych napisano: „łąćcie się i rozmnażajcie“. Tak namawiała, ale to tak namawiała i nudziła (a swa-

chą była zawołaną), że wreszcie biedny, zmęczony — nie bacząc zdrów li zupełnie, czy jeszcze słabujący — związał się uroczyście węzłem małżeńskim w ewangelickim kościele z panną Karoliną Schonert, wesołą i ładną blondynką, koleżanką z pensyi i przyjaciółką swojej siostry. Na ślub i weselisko przybyła cała rodzina, a zjadłszy, wypiwszy i pobłogosławiwszy państwa młodych, zapewniła się przedewszystkiem notaryalnie, że Adolf kapitaliku swego przynajmniej przez trzy lata nie odbierze, poczem uszczęśliwiona z dobrego uczynku (za jaki uważała wyswatanie chorego brata z Karolcią), zadowolona z dobrego interesu, opisanego na stęplu przed rejentem, wróciła wolna od wszelkiej troski na Szląsk, do swego miasteczka i do swojej fabryki.

Karolcia była ciekawym typem, jaki wytwarza dość często niewłaściwe krzyżowanie źle dobranych osobników dwóch ras, zbliżonych do siebie warunkami fizycznymi, a różnych duszą i tradycją duchową. Chociaż liczyła blisko lat dwadzieścia ośm, wyglądała zaledwie na dwadzieścia. Twarzyczkę miała okrągłą, białą; na jagodach rumieńce jakby akwarelowym pomalowane pędzlem; źrenice błękitne, prawie turkusowe; włosy złote, bujne, dwoma grubemi warkoczami opasu-

jące nad czołem zgrabną główkę. Była pulchna, trochę nawet otyła, ale pomimo to zwinna, żywa... jak żywe srebro. Chichotała cudnie. Śmiech jej podobny był do świegotania ptasząt, czasem zaś do cichego brzęku dukatów lekko zsuwanych na szczerozłoty talerz. Lubiała śpiewać, bawić się, stroić, oczkiem wabić i zawracać chłopcom głowy uroczą ponętą swojej wrodzonej zalotności, wonią świeżego ciała, upajającą zmysły. Strategii wabienia nauczyła się sama w ciągu długoletnich panieńskich zabiegów o zdobycie męża — zabiegów dotąd próżnych, bo utrudnionych brakiem posagu. Ten i ów młodzieniec pokochał ją gwałtownie, namiętnie; wyznał nawet swoją miłość... żaden jednak się nie ożenił.

Po niemieckich przodkach wzięła ona wielki takt i spryt dawania sobie rady w niełatwych okolicznościach życia, nadto dar gospodarowania, zarządzania domem, utrzymywania w nim porządku i czystości wzorowej. Po polskich pradziadach odziedziczyła pewną lekkomyślność i rozrzutność, kiedy chodziło o dogodzenie żądom samolubnym i miłości własnej. Była łakomą w dziecinnem znaczeniu tego wyrazu, a przytem nie zbywało jej także na apetycie do użycia rozkoszy, jakimi świat do pięknych kobiet się uśmiecha. Ząbki jej

białe, równe, ale rzadkie i ostre, jak u młodego wilczka, zdawały się zgrzytać na myśl, że los nie dla wszystkich zastawia biesiady z wetami, szampanem i słodkim tokajem. Wzdychała do kwintnych potraw, do soczystych zamorskich owoców, do atlasów, aksamitów, koronek, do wszystkiego, co błyszczy, co upaja i smakuje... A tu niestety dwudziesty ósmy rok panieństwa zmusił ją wyjść za mąż, za takiego cichego, skromnego, chociaż przystojnego Adolfa.

Niepodobna jednak było powiedzieć, aby go nie kochała i aby serce jej nie żywiło dla niego wiele litości i szczerego współczucia. Owszem patrząc na nią w pierwszych chwilach po ich po-braniu się, sądzić można było, że jest stworzoną na dożgonną towarzyszkę biednego melancholika. Dobra, miła, ujmująca, starała się go rozerwać i rozweselić. Każdemu się zdawało, że Adolf — równie jak ona niemieckiego pochodzenia, tylko potomek dawniej wynarodowionej rodziny — musi swój bezwiedny (a może dziedziczny) *Weltschmerz* w gorących uściskach białej blondynki roztopić. Tymczasem stało się inaczej. Natura Karolci pod pokrywką chłodnego taktu i rozsądku, namiętna aż do szału, wrząca i wyrachowana, ognista i racjonalna, nie obudziła w łonie Adolfa wyższej

szlachetniejszej miłości, jedynej, jaką ten nieszczęśliwy człowiek mógłby się do kobiety przywiązać. Zbliżenie się ich wzajemne nie wstrząsnęło nim aż do głębi, tak aby go przetworzyć i odmłodzić, przeciwnie zaniepokoiło tylko biedaka i zasmuciło. Dusza jego czysta i niewinna, przerażona tym brakiem uczuć w własnej piersi, pograżyła się w czarniejszą jeszcze mizantropię.

Wkrótce wytworzyła się między niemi obojętność zupełna, ujęta jednak w formy przyzwoite, taka, jaką dostrzedz można tylko w małżeństwach z wyższych sfer towarzyskich.

Adolf chodził codziennie, regularnie, o oznaczonych godzinach, spełniać w magistracie swoją czynność urzędową, wieczorem zaś — zadumany i mileczący — wycinał ramki z machoniowych i dębowych deseczek. Przez oszczędność, ze względu na większe wydatki domowe, zaczął palić tańsze cygara, a było to z jego strony poświęcenie, bo lubił dobre i drogie. Czasem, wracając z biura, wstąpił do piwiarni na kufelek szumiącego piwa, nie chciał bowiem zbyt wcześnie przychodzić do mieszkania, mniej dlań teraz miłego, niż dawniej. Przytem wszystkiem jednakże był dla żony grzeczny, uprzejmy, a nawet — o ile fundusze na to pozwalały — dogadzał zachciankom Karolci. Tyl-

ko... tylko nie kochał jej wcale. Ta zaś, widząc się pozbawioną gorętszego przywiązania, o którym marzyła i którego tak bardzo pragnęła, widząc się niemal odepehniętą, uczuła żal do Adolfa; zdawała się nawet z początku boleśnie dotkniętą i obrażoną, ale to nie trwało długo. Po niejakiś czasie wesołość i lekkomyślność wzięły górę nad przykrem rozdrażnieniem. Nucąc jakąś aryjkę z operetki, myślała w duchu:

— Ha! kiedy tak, to trudno!... Każde żyć będzie dla siebie.

I zaczęła żyć dla siebie.

Z budzących się w jej łonie wrodzonych złych skłonności odezwało się pierwsze: owo dziecinne łakomstwo, o którym wspomnieliśmy wyżej. Znaczną część pieniędzy, powierzanych jej przez męża, wydawała na przysmaki. Karmiła się łakociami. Codziennie przynosiła z miasta spore pakiety ciast i cukierków. Zjadała je sama — ukradkiem.

— Dobrze mu tak! — myślała — gdyby mnie kochał, jedlibyśmy razem. Pewnobym mu nie pożałowała.

Po łakociach przyszły stroje. Zaczęła się ubierać jak na swój stan kosztownie i zbytkownie, ale tylko wtedy, kiedy mąż tego nie widział.

— Nie warto mu się pokazywać — szeptała do siebie cichuteńko. — Jeszczeby może pomyślał, że się dla niego stroję!

Żeby zaś pochwalić się przed ludźmi swojemi toaletami (bo pod tym względem była prózną jak każda kobieta) wychodziła z sąsiadkami i dawnymi koleżankami z pensyi na spacer; nadto przyjmowała chętnie ich zaproszenia na herbatki, wieczorki, baliki. Tu już grosz, oszczędzony z miesięcznej pensyi, przeznaczony na utrzymanie domu, nie wystarczał. Trzeba było go poszukać w cudzej kieszeni. Zaciągała po cichu pożyczki na wysokie procenta, brała na kredyt w sklepach i od usługowej żydówki, przynoszącej jej do domu rozmaite towary. Ztąd przykrości rozliczne, niby chmury przed burzą, gromadziły się i roztaczały nad jej jasną główką... ale pomimo to humoru nie traciła. Od rana do wieczora śmiech, dźwiękiem swym do brzęku złota podobny, rozlegał się wśród białych ścian czysto utrzymanego mieszkania. Podpisywała rewery, zobowiązania, kwity, handlowała niemi, zamieniała je jak jaka wytrawna wekslarka, tu opłacając część należitości, tam dopisując odsetki; ale przed Adolfem nie zwierzyła się nigdy, w jak trudnem znajduje się położeniu. Na samą myśl, że się może dowiedzieć, drżała ze strachu,

choć wrodzonej odwagi nie brakło jej wcale. Nie zbywało jej także na admirałach, którzyby chętnie się podjęli wyrównać deficyt w budżecie, bo zalotność jej i wdzięki, coraz piękniej się rozwijające, łatwiej i prędzej przyciągały teraz wielbicieli, niż za panieńskich czasów... Nikt jednak o cień zdrożnego kroku nie miał prawa Karolci posadzić. Tak zwane jej romansiki obracały się w dozwolonym zakresie najniewinniejszego flirtażu. Wprawdzie jakaś złośliwa kumoszka, mieszkająca w tej samej dzielnicy, opowiadała kiedyś w sekrecie, że widziała panią Gronerową, idącą o bardzo późnej godzinie ze ślicznym oficerem od ułanów pod rękę, ale wszyscy ją zakrzyczeli: „To nieprawda! to być nie może!” — tak powszechnie była lubiana i takiego miru używała wśród kobiet. To dziwna! żadna nie zazdrościła jej ani urody, ani powodzenia między ludźmi. Inna, przy swoim żywym usposobieniu i kokieterii (rodowita Polka na przykład), byłaby się dawno zgubiła w opinii publicznej, kompromitując się samemi tylko pozorami. Ona nie. Przy całej swej lekkomyślności tak zręcznie czyniła zadość konwenansom i przepisom obyczajowym, że gdyby miała nawet grzech jaki na sumieniu, niktby się go nie domyślił. Ale na sumieniu Karolci nie zgola nie ciążyło,

prócz długów, które jej okropnie dokuczały. Więc też cieszyła się ogólną sympatją i uznaniem u równych sobie i u biedniejszych, dla których była uprzejmą i uczynną. Taktem zaś swoim tak umiejętnie przed oczami obcych osłaniała tajemnicę domowego pożycia, że nawet lokatorowie dworka, mieszkający pod jednym dachem, chociaż wiedzieli o jej kłopotach finansowych, nie obwiniali Adolfa ani o obojętność dla żony, ani o skąpstwo. Z długami jednak było coraz gorzej... coraz gorzej. Doszły już do kresu, poza którym czekała ją niezawodnie jakaś smutna katastrofa. Lecz nad dziećmi, szalonymi i pijakami czuwa podobno Opatrzność.

Pewnego wieczora, w sobotę, kiedy już słońce chyliło się ku zachodowi nad ogródkiem, dyszącym cudną wonią kwitnących drzew owocowych, jedna z sąsiadek, uboga praczka, zapukała dyskretnie do drzwi saloniku, opisanego przez nas na początku opowiadania.

— Proszę wejść! — zawołała Karolina pudrująca śliczną twarzyczkę przed zwierciadłem.

Praczka wsunęła się do pokoju.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki. Kochana pani pewno z rachunkiem?

— O! nie!

— Dziśbym nie mogła zapłacić... W przyszłym tygodniu...

— Mnie tam nie pilno.

— O cóż chodzi?

— A niby pana sekretarza nie ma?

We dworku tytułowano Gronera panem sekretarzem.

— Nie; mąż jeszcze z biura nie wrócił. W sobotę zawsze dłużej bawi.

Tymczasem w istocie, Adolf siedział w piwiarni ciemnej, przy osobnym stoliku i snuł czarne melancholiczne myśli, puszczając kółka z cygarowego dymu i sącząc kropla po kropli brunatny napój z kufelka. Żona wiedziała o tem, bo go nieraz podpatrzyła w podobnym stanie, udawała jednak, że nie wie; udawała, że wierzy, iż zajęcia zatrzymują go do późna w magistracie, a przed obcymi nie zdradziłaby dziwnej manii męża za wszystkie skarby świata.

— Bo widzi pani, to niby wielki sekret — szeptała praczka.

Karolcia lubiła słuchać sekretów, więc żwawo zawinęła puszek od pudru w batystową chusteczkę, schowała ją do kieszeni i zbliżyła się do sąsiadki.

— Co?... co takiego?

— Sekret proszę paniusi, a może i niezły interes.

— Mówcież... proszę, moja Janowa.

— Jakby to powiedzieć!... Oto wiem o jednej kobiecie z dalekich stron, co miała maństwo... tu pod Krakowem... u mamki.

— Bójcie się Boga!

— Ta proszę pani, bywa tak czasem na świecie!... Chłopka parę dni temu zmarła, więc dziecko wypadało odebrać. Pędrak ma już piętnaście miesięcy; śliczny jak malowanie... Gdyby kto wziął za swoje, to ta kobieta... chciałam powiedzieć ta pani... dałaby rocznie, bez pięć lat, po sześćset papierków, a może i paręset z góry... niby za datku, niby na przepadłe.

— Czy być może?

— Zaraz pomyślałam sobie... państwo szlachetne osoby... przez dzieci... to byście może i przyjęli robaczka.

Karolcia klasnęła w obie dłonie, tak jej się ta myśl podobała.

— A dadzą sześćset reńskich?

— Jak mi Bóg miły dadzą!

— Kiedy?... kiedy? — pytała Gronerowa z zajęciem.

— Może i dziś o zmroku... Ma się rozumieć,

ta pani nie tutejsza, aż z pod Przemyśla... nie śmie za dnia po mieście chodzić, bo choć niby nie matka, ale to zawsze jakoś nie miło. Chciałaby, żeby chłopak był w porządnym domu i wychowany na panicza... Ja jej tak o paniusi świadczyłam, już tak świadczyłam...

— Dziękuję kochanej pani. Jak się rzecz ułoży, to wynagrodzę...

— Znam brylantowe serduszko i na nie właśnie rachowałam!.. Jenó ona pragnie żywnie poznać szlachetną osobę.

— Toż ją sprowadźcie moja Janowa... sprowadźcie czempredzej.

Pojutrze w poniedziałek, przypadał termin wypłaty jakiejś znaczniejszej sumki, więc Karolci było bardzo pilno zawrzeć umowę jak najspieszniej.

— Sprowadzę droga paniusiu niezawodnie, tylko co na to powie pan sekretarz?

— Biorę wszystko na siebie.

— Kiedy tak, to lecę... Niechże szlachetna osoba łaskawie zaczeka, bo my tu wnet przybędziemy.

— Jakto! teraz?... a mówiliście, że za dnia nie śmie,

— No, tak! ale już niby wieczór, a powiem szczerze, ona u mnie nocowała i od rana czeka.

— Czeką od rana, a wyście mi dopiero powiedzieli!

— Widzi paniusia trzeba wszystko robić poważnie, bo jest z nią niby i dziecko. Mówię w zaufaniu... a i ja niby pragnęłam się także zapewnić, czy mi szlachetna osoba co za fatygę ofiaruje.

— O kochana pani mnie zna przecie... nie poskąpię...

— Wiem, wiem!.. to też lecę.

— Zatem czekam.

— Bez mały kwadransik stawimy się niezawodnie. Muszę naprzód obejść podwórzec i niby spenetrować, czy kto nie podgląda... bo ona sobie życzy jeno z paniusią samą się rozmówić... a nie chciałaby, żeby ją hołota z naszego dworka widziała.

Ukloniła się i wybiegła.

Po wyjściu praczki Karolcia zbliżyła się do lustra i patrząc weń na odbicie swojej okrągłej twarzyczki rozpromienionej i jaśniejącej radością, aż się zaniosła od chichotu.

— Dwieście i sześćset, to osmset! właśnie tyle, ile jestem winna. Do roku nie będę mieć i centa długu, a dzieciaka przecie i z domowych pieniędzy

dzy wyżywię i ubiorę. Przerobię moje suknie... mam tyle gałganków!... Tylko — zamyśliła się i posmutniała — żeby Adolf nie miał nic przeciw temu. — Westchnęła. — Och! ten Adolf!

Co oznaczało jej westchnienie?... wie wiemy.

W pół godziny potem zjawiała się nieznajoma. Była to kobieta lat około trzydziestu, przystojna, ale pospolita. Po ubiorze i sposobie wyrażania się łatwo było odgadnąć w niej gospodynię lub kluźnicę z zamożnego wiejskiego domu. Za nią weszła Janowa, dźwigająca na ręku coś zawiniętego w dużą, kraciastą, szkocką chustkę. Kiedy już ostrożnie drzwi za sobą zamknęła — pewna, że i służącej w kuchni nie ma — rozwiązała wełnianą oponę i postawiła na podłodze małego chłopczykę, który starszym się wydawał, aniżeli był w istocie. Wyglądał na lat dwa przynajmniej. Jak niedawno temu w wyrazach praczki, tak obecnie w ruchach jej i całym zachowaniu się znać było sztuczne przejęcie się ważną rolą. Grała komedę z głębokiem przeświadczeniem o swem znaczeniu w akcji, przybierając nader pociesznie odpowiedni wyraz twarzy do tajemniczej sytuacji.

Dziecko istotnie było bardzo ładne, ale to tak ładne, że trudno było odeń oczu oderwać. Ciepły koloryt, jakim rumieniła się jego ogorzała bóża,

blask czarnych ocząt, włosy, wijące się w pukle nad skroniami, jak u Rafaelowskiego aniołka z obrazu Madonny Syxtyńskiej, pulchne łapki, nawet — dla dopełnienia całości — cienka, płócienna koszulka, rozmamana na ciemnej piersi, oraz rozpięty kaftaniczek włóczkowy niebieski i także z błękitnej włóczki buciki na gołych, jakby z brązu ulanych nóżkach, słowem, wszystko razem tworzyło zachwycające zjawisko. Karolcia aż usiadła na dywanie, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Po chwili przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Bęben nie płakał, nie mazał się, nie krzywił, przeciwnie pogodnie, śmiało patrzył na otaczających i rozglądał się po ścianach, a do nowej przyjaciółki uśmiechnął się uroczo, z tą kokieterią, jaką niektóre dzieci obojej płci posiadają w wysokim stopniu. Objąwszy Gronerową jedną ręką za szyję, wyciągnął drugą ku landszaftom i koperstychom, wskazując na nie paluszkami.

— A co to? — zapytał, miękcząc po dziecinnemu co na cio, takim dźwięcznym głosem, że szczebiot jego wydawał się jakąś śliczną muzyką.

— Opowiem ci to później.

— Później?!... dobrze — odparł z chłopską i ro-

ześmiał się wesoło. Minką zuchowatą i zalotną podbił odrazu Karolcię.

Targ o wzięcie malca na wychowanie, a raczej o adoptowanie za swego, trwał krótko. Przybito go na warunkach zręcznie podsuniętych przez Janowę, która (filut baba!) z jednej i drugiej strony zapewniła sobie wynagrodzenie za urojone pośrednictwo, oddanie bowiem chłopczyka Gronerom było rzeczą dawno postanowioną.

Nieznajoma widocznie się śpieszyła. Uściła więc dwieście złotych reńskich i kwartalną należność z góry, zapewniając przytem, że następne raty przysyłać będzie regularnie co trzy miesiące, pocztą. Zdawała się roztargnioną, obcą dziecinie, prawie obojętną.

— Na zawsze oddaję pani Remisia... Imię Remigiusza otrzymał na chrzcie świętym... Pewną jestem, że mu tu będzie dobrze, że od dziś synkiem państwa zostanie.

— O! tak, tak!... Proszę się nie lękać! — mówiła Karolcia ze szczerem uczuciem.

— Nie obawiam się; jestem zupełnie spokojną. Ci, co mnie tu przysłali, dowiadawali się ustnie i listownie u znajomych w Krakowie... Wiemy, z kim mamy do czynienia.

Pracze nie podobała się ta szczerość, zaczęła więc w znaczący sposób udawać, że kaszle.

— A co tam? — spytała nieznajoma.

— Słyszę, że ktoś idzie.

— To i my wyjdziemy! Żegnam panią — rzekła, zwracając się do Karoliny.

Poczem podniosła z podłogi jak piórko opierającego i wyrrywającego się z jej dłoni malca, przycisnęła go do łona, obsypując czoło jego i policzki gorącymi pocałunkami. W jednej chwili chłód i udany spokój stopniały w czułym pożegnaniu. Łzy polały się po jej twarzy strumieniem. Teraz każdy, pomimo najsolenniejszych zapewnień Janowej odgadłby łatwo, że to nie najemnica, ani pośredniczka, lecz rodzona matka rozstaje się ze swoim dzieckiem. Mało nie udusiła Remisia w objęciach. Ale opamiętała się szybko. Otarła oczy, posadziła chłopczyka na dywanie, Karolcię chwyciła w pól i nachylając się do jej ucha, szepnęła:

— Niech go pani kocha!

Skinęła na praczkę, aby wyszła za nią i wybiegła.

Dziecko nie zapłakało. Wychowane na wsi, u chłopów, nie znało matki. Spędziło z nią razem ledwie kilka dni ostatnich. Wyciągnęło więc rączęta do mile doń uśmiechającej się Karoliny,

a rozochocone ciepłemi jej pieszczotami, zaczęło się bawić w najlepsze. Już najściślejsza przyjaźń ich łączyła, kiedy Adolf powrócił do domu.

— Co to jest?... co to znaczy? — spytał zdziwiony, wskazując na Remisia.

— Nasze przybrane dziecko — odparła żona wesoło.

— Czy żartujesz?!... nie rozumiem.

— Nie, nie żartuję... Remiś! kto to? — i wskazując na męża, szeptała chłopczykowi do ucha:

— Powiedz Tatus!

— Tatus! — powtórzył malec, uśmiechając się uroczo.

Groner uczuł się tym uśmiechem oczarowany.

— Jak?... jak on to mówi?

— Powiedz tatuś — szeptała znowu Karolcia.

— Tatus! tatuś! — paplał chłopczyzna i klasał w rączkę.

— Dziwne dziecko!... A ty kto jesteś?

— Synek taty — poddawała pocichu wesoła nauczycielka.

— Synek taty! — powtórzył Remiś, śmiejąc się rozkosznie.

Adolf mimowolnie wzruszony pochylił się, aby go ucałować w oczki błyszczące.

Wtedy Karolina opowiedziała mężowi wszystko; zataiła tylko cyfrę otrzymanej zaliczki.

— Przyjrzyj mu się, jaki śliczny!

— Bardzo ładny.

— Nieprawdaż?!... Więc nie gniewasz się na mnie, że nie czekając na twoje przybycie, bez pozwolenia...

— Przecież ja się na ciebie nigdy nie gniewam — mówił melancholik powoli, przyciągając do siebie chłopczyka, który zanurzył pulchne paluszki w jego czarną brodę i gładził ją z widocznym zadowoleniem.

— Nie masz mi za złe?... powiedz — należała Karolcia, uradowana bardzo obrotem, jaki wzięła sprawa.

— Nie, nie... przeciwnie. To dziwna! nie wiedziałem, że można dzieci bardzo lubić, a tego — dodał, wskazując — to mi się zdaje, że bardzo polubię. Ale czy go nam tylko nie odbiorą?

— O, niema obawy! Oddano mi go na zawsze.

Od owego dnia rozpoczęło się dla Adolfa nowe życie. Można było myśleć, że jakieś elektryczne wstrząśnienie wskrzesiło go z letargu,

w którym obumierał bez nadziei i wiary w lepszą przyszłość.

Przywiązanie jego do Remisia wzrastało codziennie. Nigdy rodzony ojciec nie mógłby być dlań czulszym i bardziej kochającym. Wyrzekł się smutnych marzeń w ciemnej piwiarni, zapomniał o kufelku, kupował coraz tańsze cygara... ba! po niejakiś czasie przestał nawet palić zupełnie, aby pieniądze, puszczone niegdyś z dymem, użyć na przyjemności i rozrywki ukochanego chłopczyzny. Przestał wycinać ramki w gotyckim stylu z machoniowych i dębowych deseczek, a w miejsce tego strugał dlań cacka z lipiny. Godziny wolne od zajęć biurowych spędzał z nim razem. Rozumieli się doskonale, bo Remiś był nad wiek rozgarnięty i rozwijał się z dniem każdym. Adolf ustawił przy swoim łóżku malutkie łóżeczko, aby nawet w nocy mieć go przy sobie blisko... jak najbliżej. „Synuś“ — tak malec sam siebie nazywał — nie usnął, dopóki „tatuś“ nie opowiedział mu jakiej czarodziejskiej bajeczki: o szlachetnych królewiczach, ubranych w złotogłowy, o siedmiu rycerzach uśpionych, o pięknej księżniczce, noszącej długie, powłóczyste suknie, błyszczące jak gwiazdy, lub szafirowe jak niebo, o dwóch braciach mądrych i trzecim

głupim, o starych królach z siwemi brodami, wspierających się na berlach, zdobnych w brylanty i rubiny, o gnomach i koboldach, o dobrych wrótkach, kochających grzeczne dzieci, o mistrzu Twardowskim i o owym „Nurku“ z kopersztychu, co wskoczył w wir morski, który:

I wre i huczy i kipi i pryska,
Aż pod obłoki białą pianę ciska...
Nurek się boskiej poleca obronie,
I w otchłan skacze i w odęcie tonie.

Po klechdach polskiego i niemieckiego ludowego Parnasu, przyszła kolej na trudniejsze, bo realne — drogie sercu, choć bolesne — legendy. Trzeba było tłómaczyć chłopcu prosto, a przystępnie, tak, aby zrozumiał tragiczną śmierć księcia Józefa, ginącego w nurtach Elstery, wyobrażoną na czerniejącym landszafcie i bohaterską postać króla Jana III i dzieje Kościuszki, a nawet objaśnić pamiątkowy medalion z jubileuszu Józefa Ignacego Kraszewskiego. Groner musiał posiadać rzeczywisty dar opowiadania, bo Remiś go słuchał uważnie, choć często oczki do snu się kleiły. Rzadko kiedy zmrużył powieki i ociężałą główkę opuścił na poduszkę zanim „tatuś“ skończył. To też Adolf przepadał za Remisiem. Oddałby dla niego swoją pensję w magistracie

i kapitalik, ulokowany u rodzeństwa na fabryce płótna w Szlązku... i życie. Bo życie bez tego dziecka byłoby mu teraz brzemieniem, stokroć cięższem, niż dawniej. Celem jego pracy, marzeniem przyszłości, słowem wszystkim był Remiś... tylko Remiś!... Uczucie to ogarnęło go całego, zawładnęło nim niemal niepodzielnie.

Nieraz, o świcie, drzemał błogo — i drzemalby chętnie jeszcze godzin parę — bo wczoraj pracował mozolnie w magistracie i znużył się bawiąc z dzieckiem, ale jak tu spać, kiedy bęben po cichu wydobył się z małego łóżeczka, z pod kołderki jedwabnej, uszytej z sukni Karolki, wgramolił się do łóżka przybranego ojca, a wzięwszy oburącz ciepłemi łapkami głowę Gronera, wstrząsał nią, wołając:

— Hej! już dzień, a ty spisz!

Adolf nie skrzywił się nawet. Radością i uśmiechem witał każde takie przebudzenie. Chwytał „synka“ w objęcia, pieścił, całował... i czuł się taki szczęśliwy; o! niezawodnie najszczęśliwszym z ludzi! Losu swego nie zamieniłby z żadnym potentatem i mocarzem świata.

Chociaż Karolcia mniej może od męża kochała dziecinę, jednakże to przywiązanie zbliżyło ich nieco do siebie. Groner widząc, jak dobrą

jest dla chłopczyka, jak pod jego nieobecność malcem się zajmuje, jak dba o wszystkie potrzeby pieszczocha, zaprzyjaźnił się z nią także i spoufalił trochę. Ile razy wrócił do domu, witał ją uprzejmie, z wdzięcznością czasem za rękę ścisnął, do wspólnych rozrywek z Remisiem przypuszczał, a w ciągu zabawy traktował ją jak drugie dziecko, wprawdzie nie ukochane, nie najdroższe... przecież miłe. Słowem adoptacya ślicznej żywej laleczki wywołała dwa cuda naraz. Przetworzyła mizantropa, a w sercu Karolci zagłuszyła wszystkie złe skłonności. Gospodarna i rzadna, spłacała powoli dług, nie myśląc już ani o strojach, ani o balikach, ani o admiratorach. Remiś, jak anioł stróż zasłonił ją przed pokusami, rozpędzając je precz, gdzieś daleko, na cztery wiatry. Łakotki lubiła jeszcze, ale — jeśli je przynosiła z miasta — to tylko, aby się niemi z „synkiem“ i „tatusiem“ podzielić. Słowem, w dworku na Piaskach, w dwóch pokojach czystych i jak zwykle porządnie utrzymanych, było teraz dobrze i błogo jak w raj.

Trwało to tak dwa lata.

Pewnego wieczora, kiedy Adolf, Karolina i Remiś, leżąc na dywanie wojskowym, w niby wschodnie wzory, śmiali się zgodnym tercetem —

ciskając przytem kulą drewnianą po jednej z desek malowanej olejno podłogi ku kręgielkom ustawionym na przeciwnym końcu oświeconego lampą saloniku — w drzwiach od kuchni ukazała się Janowa. Twarz praczki zdawała się ułożoną — jak maska starożytna — do jakiejś dramatycznej sytuacji. Weszła, oparła się o komodę i mocno westchnęła.

— Co tam słyhać kochana pani? — spytała Gronerowa — może z rachunczkiem?

— Bogać tam z rachunkiem łaskawa paniusiu. Nie mi się nie należy... ale źle słyhać!

— Cóż takiego?

— Matka Remisia przyjechała.

— To dobrze.

— Niby dobrze, a nie dobrze — konkludowała praczka *quasi* filozoficznie.

— Dlaczego?

— Bo chce państwu synka odebrać.

Adolf zerwał się na równe nogi.

— Co?... oszalała!

— To być nie może; przesłyszeliście się moja Janowa — rzekła Karolcia, podnosząc się także.

— Nie przesłyszałam się... nie, proszę paniusi. Widziałam ją na własne oczy... tylko co

przyjechała... stoi w hotelu na Plantach... zaraz przysłała po mnie... Jest drogą bardzo zmęczona, więc dopiero jutro tu będzie i dziecko niezawodnie odbierze.

— Nie dam! — krzyknął Groner i podniósł Remisia z dywanu, tuląc go do piersi.

Karolina, spostrzegłszy rozdrażnienie męża, wyprowadziła praczkę do kuchni, a potem na podwórzec i do ogrodu. Kiedy zaś wróciła, zastała Adolfa wciąż z dzieckiem na ręku, przechadzającego się po pokoju wielkimi krokami. Bładł i czerwieniał na przemian.

— Nie oddam! nie oddam! — pomrukiwał gorączkowo.

Całą noc nie spał.

Raniutko ubrał sam chłopczynę i razem z nim wyszedł na miasto, nie mówiąc, dokąd się udaje. Na ulicy oddał posłańcowi kartkę, przed chwilą nakreśloną pospiesznie, polecając mu, aby około dziewiątej zaniósł ją do magistratu. W kartce tej usprawiedliwiał się przed swoim naczelnikiem, że z powodu choroby do biura przyjść nie może. Nie kłamał, był bowiem istotnie bardzo chory... moralnie. Skoro posłańca z oczu stracił, ruszył naprzód przed siebie. Uciekał z ogrodu do ogrodu, z restauracyi do restauracyi, z cukierni do cu-

kierni, jakby go kto gonił, na sekundę nie opuszczając swojego skarbu. Wycieczki te, strasznie nużące, powtarzały się kilka dni z rzędu, co-dziennie w tenże sam sposób. Zmizerniał, wychudł. Włosy posiwiały mu nad czołem. Również switem opuszczał dom, a po północy dopiero wracał. Zanim wszedł, zaglądał przez okno do mieszkania, czy niema w niem kogo obcego.

Co na tem biedna Karolcia cierpiała, opisać trudno.

Nieznajoma kilka razy na dzień przychodziła upominać się o swoje dziecko, błagać i grozić naprzemian, aby jej synka zwrócono, bo inaczej ziemię i niebo poruszy, zaskarży, skompromituje, upokorzy wydzierców. Godzinami całymi siedziała w saloniku, nie chcąc się ruszyć z miejsca. Gronerowa u nóg się jej włożyła, tłumacząc, że mąż tak się przywiązał do Remisia, iż utraty jego nie przeżyje... ale nie mogła wyprosić zmiany postanowienia, co najwyżej powstrzymać zdołała od gwałtownych i stanowczych kroków, od skargi i egzekucji za pośrednictwem sądu i policji.

Zrozpaczona matka zmyliła nakoniec pewnego ranka czujność Adolfa. Przenocowała u Janowej, i w chwili, kiedy Groner, ubrawszy malca, chciał

opuścić mieszkanie, zastąpiła mu drogę. Odziana była (nie jak klucznica) w grubą żałobę. Nie naśladowała już gwary pospolitej, jak przed dwoma laty; na bladej twarzy malowały się dawne cierpienia i świeże wzruszenie.

— Stój! — zawołała — zwróć mi dziecko okrutniku!

— Nie oddam! nie oddam! — szeptał Adolf prawie bezprzytomny, przyciskając chłopczyka do łona.

— Czy myślisz, że masz do czynienia z matką nieposiadającą prawa upominać się o swoją krew, o swoje dziecko?... Przekonaj się. Patrz!

Rzuciła na stół akt ślubny i metrykę Remisia. Janowa, udająca znowu osobę doskonale obznajomioną z tajemniczą sprawą, rozwinęła papiery i oparła wskazujący palec na stemplach. Karolcia drżała, jak w febrze. Remis płakał.

— Wysłałam za mąż potajemnie... Gdyby mój ojciec, siedmdziesięcioletni starzec, dowiedział się o tem, byłby mnie przeklął i z pod dachu rodzinnego wypędził. Ukrywałam zatem nie-nawistny mu związek. Stałam się niemal jego służką... przez poświęcenie zmarnowałam pierwszą młodość... Życie moje upłynęło w łzach i smutku... rozdzielona z mężem, rozdzielona

z dzieckiem! A teraz, kiedy wdziałam podwójną żałobę po ojcu i mężu, bo obu naraz straciłam, pan mi chcesz syna wydrzeć... To nikczemnie, niegodnie!

Adolf spuścił w ziemię oczy, ale Remisia z rąk nie wypuszczał.

— I cóż mu po pańskiej samolubnej miłości... jaką przyszłość mu gotujesz?... ubóstwo, prawie nędzę... kiedy ja jestem majątną!

Groner upadł prawie na krzesło. Otworzył ramiona bezwładne, a chłopiec stanął na podłodze.

— Zabieram moje dziecko! — zawołała znowu matka.

Poskoczyła po chłopca. Ten zaniepokojony przestał płakać i patrzył wokoło zdziwionym wzrokiem.

— Ha! ma pani słuszość!... lepiej się go wyrzec, kiedy mu szczęścia zapewnić nie mogę!

Nieznajoma i Janowa uniosły chłopczykę. Malec krzyczał, wyrывał się i przywoływał „tatusia“... ale głos jego słabł coraz bardziej w oddaleniu. Z ulicy doleciał turkot kół wyruszającego zpod dworka fiakra. Potem wszystko ucichło.

Groner nie ruszył się z krzesła. Łkanie wyrывało się z jego piersi. Karolcia, na wpół ubrana,

a urocza i piękna jak zawsze, u stóp jego kłęczała.

— Tak go bardzo kochałeś?

— Bardzo — wyjąkał.

— Pozostało ci drugie dziecko — szeptała biedna kobieta — nie takie dobre i miłe, jak tamto, ale które cię kocha... równie gorąco jak Remiś.

Adolf spojrział na nią załzawionymi oczami. Na jej twarzyczce okrągłej malowała się boleść, niepokój i smutek, a w spojrzeniu błyszczało przywiązanie prawdziwe, szczere, głębokie, przywiązanie bez granic.

Otarł oczy, objął żonę za białą szyję, na którą spływały śliczne złote włosy, rozrzucone w nieładzie. Usta swoje do jej ust przycisnął i rzekł poważnie:

— Prawda... mam drugie dziecko... i kocham je także!

WRÓBLE.

Późno w noc wróciłem wczoraj z rautu u hrabiny ***, na którym nasłuchiłem się muzyki wokalnej i instrumentalnej i... mnóstwa ploteczek. Śniły mi się nawet niektóre z nich... Zabawniejsze tylko!

Pani domu, sama bardzo muzykalna, uraczyła swoich gości koncertem, w którym przyjęli udział słynni artyści. Program świetnie wybrany, składał się z utworów mistrzów znakomitych. Po każdym numerze, wynagradzanym hucznymi oklaskami, komplementami, okrzykami wdzięczności głośnie- mi i trzymanemi w piskliwych pianissimach, dzięki- czynnemi a omdlewającemi spojrzzeniami, oraz wy- mownemi uśmiechami uroczych *mondaines*, pra- gnących przekonać, że rozumieją muzykę i za- chwycać się nią umieją — nastawała pauza, ro- dzaj względnej ciszy, podczas której rozpoczynał się inny koncert, nieobjęty programem. Towarzy- stwo rozbite na grupy i kółeczka ogadywało się wzajemnie szeptem, tworzącym szmer niezupełnie harmonijny.

Gdyby ktoś nagle, za poruszeniem różeczki czarodziejskiej zdwoił potęgę tonu w tym szeptanym *ensemblu*, zabrzmiałyby niezawodnie zabawne dysonanse. Ale ostre języki i języczki, nieszczędzące równie najbliższych sobie jak wirtuozów, oklaskiwanych przed chwilą, знаły siłę swoich organów i akustyczność salonu, zatem ten tylko ploteczki wysłuchiwał, kogo łaskawie dopuszczono do jej wysłuchania.

Należę do tych, co nikomu i nigdy wody nie zamącili. Ile razy spostrzegłem, że mimowiednie zawadzam ambitnemu, czy w powodzeniu światowem, czy w karyerze, sam dobrowolnie usuwałem się z drogi... więc zasługuję na zaufanie wszystkich karyerowiczów i mogę słuchać opowiadanych przez nich ploteczek. Nigdy ich nie powtarzam, czasem tylko opisuję, ale w ten sposób, że nikt nie dopatrzy podobieństwa do pierwotnej wersji.

Och! co ja się ich wczoraj nasłuchiwałem!

Dlatego też wstałem dziś zrana trochę znużony. Ubrawszy się, otworzyłem okno i wyjrzałem na ulicę, chcąc odetchnąć świeżem powietrzem.

Na dworze mróz aż skrzypi... brr! zimno!...

Zimno ludziom, jeszcze zimniej biednym głodnym wróbelkom, tulącym się to pod dachem, to we framugach okien kilkopiętrowej kamienicy.

Rzuciłem na gzems pod oknem garść okruszyn pozostałych od mego śniadania, zaryglowałem okno i siadłem w fotelu przy stole do pisanja. Przysunąłem go do szyb, aby wpływające przez nie światło padło mi na papier.

Do okruszyn zlecieli się powietrzni goście.

Nastał swar, wrzawa i bójka. Słychać było trzepotanie skrzydełek i uderzenia dziobków... Silniejsi odpychali słabszych... Poczem chwila spokoju i ciszy, a później wesołe świergotanie.

Jeden... drugi ptaszek frunął w powietrze.

Kilka pozostało.

Siadły rzędem na skraju gzemu, wpijając w jego gipsową powłokę delikatne i eleganckie pazurki. Całe to wróble towarzystwo grzecznie zwróciło się do mnie główkami. Panie i panowie — chciałem powiedzieć, samce i samice — spuściły na ulicę z pewną swobodną dezynwolturą treny i szosy swoich naturalnych toalet i fraków... i rozpoczęły żywy rozhovor, coś niby konwersacyę salonową, złożoną z sentencji i ploteczek.

Przez szklanne tafle słyszę wszystko, więc słucham... i spisuję.

Rozmowa — jak po proszonym obiedzie — rozzerwana, rozbita, kółeczkowa, dotyka naprzód przedmiotów błahych i pospolitych, ale powoli...

powoli ten introdukcyjny świergot zagłusza gromka perora starszych.

Jakiś chudy wróbel, gorzej od innych upierzony, choć z czubkiem na głowie, mówi poważnie:

— Sztuka posiada rozmaitych kapłanów. Nie-
dość, że według hierarchii talentu i zasługi dzielą się oni na arcywielkich, wielkich i małych, ale nadto są między nimi: skromni i zarozumiali, kompozytorowie i wykonawcy, zręczni i niezgrabni, mistrze i uczniowie, szczęśliwi i tacy, którym się nigdy nie wiedzie. Jedni cieszą się uznaniem za życia, drugim śmierć dopiero rzuca wieniec wawrzynowy na trumnę...

— Hola! hola! mości wiolonecelisto — prze-
rwała wróbelica z czarną łatką nad lewem okiem i łapkami, powalanemi atramentem — wszystko to już wyswiergotali nasi poprzednicy.

— Nic nowego pod słońcem szanowna po-
wieściopisarko! — zawyrokował sentencyonalnie otyły wróbel, który podjadłszy smacznie, nie pragnął widocznie dyskusyi, lecz spokojnej siesty.

— Tak... dla naśladowców panie malarzu —
docięła fertyczna *bas-bleu*.

Wziąłem z początku rozprawiającą gromadkę za wróbli wielki świat, tyle to miało tonów, ma-
niery i fumów arystokratycznych, a tymczasem

widzę, że to artystyczno-literacka hołota! — Ale
cóż teraz robić?... słuchajmy dalej.

— Pani ma słuszość — rzekł wróbel z czub-
kiem — nie należy się... a tem mniej drugich po-
wtarzać! Pragnąłem też tylko zacząć *ab ovo*, aby
zwrócić uwagę mego uprzejmego audytoryum, ilu
to intruzów między nas się obecnie dostaje, jak
wielu wolontaryuszów, czyli tak zwanych amato-
rów ciśnie się dzisiaj do służby przy płomiennym
ołtarzu artystycznego Znicza. Przez ich zwartą
i ścieśnioną gromadę prawdziwym artystom dotło-
czyć się trudno...

— Niezawodnie! niezawodnie! — zawtório-
wano chórem.

— Dawniej, bogaci, urodzeni lub utytułowani
zadawali się blaskiem, bijącym z ich imienia
i majątku, uważając za święty obowiązek blask
ten podwajać, mecenasując uczciwie sztuce ojczy-
stej. Wspierali też natchnionych ofiarników sztuki,
którym Opatrzność — dając dużo talentu — od-
mówiła przodków, a szczególnie mamony. Dziś
w czasach równości, oszczędności i samopomocy,
wynaleziono ekonomicznieszy środek czynienia za-
dość wymaganiom starej zasady *noblesse i richesse
oblige*. Posiadacze nazwisk historycznych i mi-
lionerowie stanęli sami w szeregach artystycznych,

wytwarzając zastęp ochotników pracujących dla sztuki... po amatorsku.

Ostatnie wyrazy wymówił wróbel-wiolonczelista ze złośliwym naciskiem, poczem ciągnął dalej:

— Ręczę słowem, że na tysiąc podobnych wolontaryuszów, zaciągających się do ochotniczego batalionu pod sztandary *ars* ukochanej, tysięczny zaledwie jest istotnie powołany nieprzepartą siłą talentu, zaś dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięciu staje pod bronią dla mody i oszczędności. Tak moi państwo — dla oszczędności. Taniej bowiem wyniesie namalować lichy obrazek, niż nabyć dobrego, albo ze śmiesznym uporem suwać fałszywie smyczkiem po strunach, aniżeli posłać swoim kosztem młodego i obiecującego skrzypka do konserwatorium zagranicznego.

— No, przecież bywają amatorowie... — zaczął wróbel, który dotąd słuchał uważnie, ale nie odezwał się ani razu.

Wiolonczelista z czubkiem przerwał szybko:

— Wiedziałem, kochany krytyku, że słowa moje nazwiesz herezyą; co więcej pewny jestem, że najbliżsi wyklną mnie za nie; ale jestem przyjacielem prawdy i nie umiem jej w bawełnę obwijać. Uduśliłbym się, gdybym tego, co myślę, nie wypowiedział szczerze. Twierdzę zatem śmiało, iż

brzydzę się mezaliansem sztuki z arystokracją pieniężną i rodową... a nie winszuję tym, co służy za swaty tak niedobranemu małżeństwu.

Krytyk zamilkł, zdziwiony trochę tym ferworem.

— Oho! — szepnęła wróblica literatka — gotowabym przysiąc, że naszemu kochanemu mistrzowi, który rzadko się gniewa i chętnie urazy przebacza, musiał jakiś amator strasznie zaleść za skórę. Wyrządził ci pewno wielką przykrość — dodała tonem udającym politowanie, zwracając się żywo do artysty — a może i krzywdę.

— Mnie?!.. żadnej — ofuknął z rozdrażnieniem zagadnięty. — Ja krzywdy sobie wyrządzić nie dam. Ot! przekonał tylko, że jest głupcem... zresztą za takiego uważałem go zawsze.

— Ale miałeś z nim pewno jakąś awanturkę — zawołała powieściopisarka z czarną łatką nad okiem. — Opowiedz ją nam, opowiedz, drogi przyjacielu.

— Opowiedz! opowiedz! — powtarzali wszyscy, nie wyłączając i wróbla malarza, który w ciągu tego, co powyżej, zdrzemnął się na dobre i przebudził się dopiero wśród ogólnej wrzawy.

Całe wróble towarzystwo prosiło i nalegało tak natarczywie, że wiolonczelista zmęczony, a może

i potrzebujący się wygadać dla ulżenia sercu czy wątrobie, naostrzył zręcznie i szybko o futrynę okna swój długi, spiczasty dzióbek i otworzył go szeroko, w celu wygłoszenia następujących wyrazów :

— Dobrze, zgoda, opowiem... ale muszę zacząć *ab ovo*.

Na wróblem posiedzeniu zapanowała cisza, jakby makiem zasiał.

— Mam, jak wiecie, piękny i dobry instrument. Wykonał go jeden z dawnych mistrzów włoskich, którzy sekret fabrykowania doskonałych skrzypiec i wiolonczeli zabrali z sobą do grobu. Nabyłem moją za dziewięćset rubli od kolegi z konserwatorium. W wycieczkach po Europie, jakie odbyłem koncertując, dawano mi kilkanaście tysięcy franków odstępnego, ale nie rozstałbym się z nią i za milion. Zżyłem się z wierną towarzyszką. Sam jestem na świecie... Ona mi zastępuje żonę, dzieci, rodzinę, wszystko; ona jedna nigdy mnie nie zawiodła, nigdy nie zdradziła. Mógłbym tylko chyba złożyć ją w ofierze na ołtarzu dobra publicznego, ale sprzedać... nigdy.

Mówiąc te wyrazy, wróbel wyszlachetniał i spoważniał. Przed chwilą wydawał mi się tylko

dziwakiem, istotą muzycznie zdenerwowaną, fanatykiem idei „sztuka dla sztuki“... teraz dopiero spostrzegłem, że ma serce i poczucie obywatelskie, o które artystycznych republikanów wróblej Rzeczypospolitej nie posądzam wcale.

— Wiolonczelę moją sprowadził z Italii książę Antoni Koryatowicz, szambelan Stanisława Augusta; król bowiem, protegujący i krzewiący w kraju wszystkie sztuki piękne, z nudów może zajmował się czas jakiś i muzyką. Andromachi dawał mu lekcye na wiolonczeli. Stanisław August, wrażliwy jak kobieta, grał z gorączkowem choć krótkotrwałem zamięłowaniem, a dwór cały go naśladował, Mało wówczas jeszcze u nas znany instrument wypisywali wielcy panowie, a wypisawszy, fałszowali na jego strunach tak długo, jak długo trwał fałszywy kaprys monarchy. Książę Koryatowicz ze swoją wiolonczelą towarzyszył królowi do Kaniowa. W powrocie, przy przeprawie przez rzekę, prom zatonął, a z nim wozy z kuframi należącemi do faworyta. W jednym z ostatnich znajdował się mój dzisiejszy instrument. Po peregrynacji przebywał chrzest z wody, potrzebował bowiem abluicy. Spędzono chłopów z pobliskich wiosek do ratunku. Wydobywanie rzeczy z dna rzeki szło niesporo; książę zniecierpliwił się, czekać nie

chciał i odjechał za królem... Co jaką pakę wywindowano z wody, wnet przenoszono ją do karczmy i ustawiano przed kominem, na którym gorzał suty ogień nieustannie podsycany. Takież sam los przypadł w udziale i wiolonczeli. Ta, pod dobroczynnym ale zbyt nagłym wpływem ciepła, zaczęła się, wewnątrz swej trumienki, paczyć, trzeszczeć i pękać! Przechodziła próbę ognia; oczyszczała się zupełnie. Wieśniacy z niemałym zdziwieniem przypatrywali się skrzyni, posiadającej kształt i strukturę niezwykłą. Pytali zatem służby księcia, co to za lichy być może, co tak dziwnie jęczy echem przytłumionem, rozlegającym się po izbie szynkowej. Dworscy, widocznie niższej kondycji, którzy dla dopilnowania odbioru rzeczy pozostali, nie umieli na zapytanie odpowiedzieć. Jednego z chłopów mocno to intrygowało. Śmielszej i ciekawszej od innych natury, dociekawszy się chwili, w której wszyscy wyszli z szynkowni, otworzył pudło i zobaczył... co?... basy. Basy!.. a toć na basach grywał on na weselach. I jak grywał jeszcze! aż się ksiądz proboszcz nie raz dziwił. Krótko trwała walka wewnętrzna. Miłość do muzyki wzięła górę nad uczciwością, i stare *cello* włoskie ulotniło się jak kamfora. Nikt się o nie nie upomniał. Służba zapomniała, a księżę

Antoni Koryatowicz nie pamiętał, bo król zarzucił granie. Dopełniła się miara ekspiacyi. Ona, śpiewaczka hymnów wzniosłych, blisko sto lat pobudzać musiała do weselości prostaczków podochoconych... Tym sposobem z dziada na ojca, z ojca na wnuka przeszła wiolonczela w ręce mego kolegi, który otrzymawszy w nagrodę pilności nową i ładną, mnie starą i popękaną odstąpił za wymienioną już raz cenę.

— Ale nasz amator? — przerwała wróblca z czarną łatką, niezdająca sobie sprawy z tego dość zawiłego, fantastycznego i historycznie wątpliwego rodowodu instrumentu, który ją tyle obchodził, co śnieg przeszłoroczny.

— Cierpliwości, cierpliwości! łaskawa pani. Powiedziałem, że muszę zacząć *ab ovo*.

Ptaszki z zimna, czy z ciekawości zbliżyły się do siebie i zbiły w gromadkę. Zdawało mi się, że patrzę na grupę salonową, zajętą jakąś ploteczkową narracją.

Może udawały zajęcie... przez grzeczność.

Wróbel z czubkiem po chwilowym wypoczynku mówił dalej:

— To, co wam tu moi państwo opowiedziałem teraz, opowiadałem już kiedyś na jednym z wieczorków muzycznych u hrabiny Trzygwia-

zdki; ma się rozumieć bez komentarzy o pokucie i ekspiaci. Pomiędzy zgromadzonymi gośćmi znajdował się jakiś jegomość niemłody, sztywny, w peruce. Nie znałem go. Przybył świeżo z zagranicy. Piers jego wydatna lśniła i mieniła się od różnobarwnych orderów, krzyżyków, medali, wstęg i wstążeczek. Kiedy skończyłem, zbliżył się do mnie i rzekł z pychą:

— Winszuję panu posiadania instrumentu, który należał do mego dziadka.

— Jakto? — zapytałem — mam przyjemność mówić z wnukiem księcia Antoniego Koryatowicza!?... Spodziewam się mości książę, że nie upomnisz się w jego imieniu o wiolonczelę, którą prawnie nabyłem za gotówkę... Przywłaszczenie uległo przedawnieniu... Nieprawdaż?

Orderowy pan zdawał się nie rozumieć ironii dźwięczącej — mimo mej woli — w wypowiedzianych przezemnie wyrazach. Zajęty jakąś inną myślą, gryzącą niezbyt obfity mózg jego, szepnął zcicha:

— Księciem, w legalnem znaczeniu tego wyrazu, nie jestem, chociaż miałbym prawo nosić tytuł, posiadany niegdyś przez moich litewskich przodków. W herbie nawet... nad hełmem... i na biletach wizytowych, kładę mitrę książęcą,

jako słusznie mi przynależną... Jestem zaś wnukiem jasnie oświeconego szambelana Koryatowicza, przez kobiety... Jego matka była Olgierdowiczówna, księżniczka... a moja babka rodziła się z Olgierdowiczówny, także księżniczki... Nazywam się Icykowski... Jestem przytem wielkim koniuszym dworu japońskiego, kawalerem słońca, komandorem księżycy, wielkim mistrzem nosorożca z wstęgą i gwiazdą, posiadam chiński tytuł rzeczywistego radcy tajnego i wcale piękny majątek... parękroć stotysięcy rocznego dochodu... Słowem, znajduję się w dość przyjemnej pozycji światowej... Nadto... znawcy i krytycy utrzymują, że gram na skrzypcach jak Vieuxtemps lub Henryk Wieniawski... A dlaczego?... Oto proszę pana, nigdy nie próżnuję, dnie całe poświęcam graniu; oddaję się pracy jak pierwszy lepszy grajek z orkiestry, umierający z głodu... To też wszyscy mówią, że robię postępy... olprzymie postępy.

— Nie wątpię, nie wątpię. Praca musi być także dziedzicznym przymiotem jego rodu. Pewno słynny fortepianista Icikowski jest pańskim krewnym?

Wnuk — przez kobiety — księcia Antoniego Koryatowicza wydał wargi pogardliwie.

— Tytułują mnie zwykle Ekscellencyą — odparł z dumą wcale nieukrywaną — albo „panem jenerałem“, chociaż nigdy w wojsku nie służyłem. Pojmuje pan... równoległość stopni: radca tajny i pełny jenerał. Nazywam się Icykowski, fortepianista zaś zowie się Ici... Ici-kowski... Rozumie pan cały ogrom różnicy?!.. Ici... i... Icykowski!...

— Rozumiem. Pomimo tego wasza Ekscellencya uprawia muzykę i jest amatorem.

— Tak; pierwszorzędnym amatorem i mecenasem sztuki. Daję wieczory, na których artyści grywają ze mną duety, tercety, kwartety...

— Ach! jakże się to dobrze składa. Właśnie znam młodego skrzypka, pełnego talentu... ale niestety... ubogi. Utrzymuje całą rodzinę: chorą matkę, młodsze rodzeństwo... Aby wyjechać zagranicę potrzebuje pieniężnej pomocy, subwencji, którą zwróci ukończywszy konserwatorium... Wasza Ekscellencya tak ceni pracę... Polecam go więc względem pana jenerała.

Propozycję podobną noszę zwykle w zanzardzu i wydobywam jak kamień probierczy, ile razy mam do czynienia z bogatym amatorem-pyszałkiem, pragnącym uchodzić za mecenasa sztuki. Wobec takiego *dictum* niemal każdy zwija

chorągiewkę. Jeden na tysiąc zaledwie zapyta o adres, jeden na dziesięć tysięcy poleci biedaka wpływowym osobom, a jeden może tylko na sto tysięcy zaopiekuje się sam skutecznie, nieszczędną grosza.

Icykowski skrzywił się, przełykając gorzką pigułkę.

— Zaproszę go na wieczór... Zagramy razem w duecie, jeśli będzie w stanie utrzymać się ze mną na równi.

— O! niezawodnie!... Tanio go mieć można, grywa za dwadzieścia pięć rubli na wieczorach arystokratycznych.

— Nie płacę nikomu... Jestem wielkim panem, ale traktuję artystów po koleżeńsku.

— Przez oszczędność... — podchwycił.

— Przez oszczędność — powtórzył machinalnie, ale spostrzegł się i dodał — daję im możliwość produkowania się w wyższym towarzystwie, a to przecie wiele znaczy.

Na tem skończyła się pierwsza nasza rozmowa, bo pani domu wezwwała mnie do wykonania ustępu, oznaczonego w programie. Zagrałem — niepamię już — jakie *solo* i opuściłem salon.

W kilka dni potem spotkałem się z poczi-

wą... nieocenioną... hrabiną Trzygwiazdki u bankiera Erlangera.

— Jakże się panu podobał Icykowski? — zapytała mnie znienacka.

Niespodzianie zagadnięty, nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Szczęściem hrabina — roztargniona jak artystka — nie czekała na odpowiedź, tylko mówiła dalej:

— On panem zachwycony; pod niebiosą wynosi twój talent. Twierdzi, iż musi cię zaprosić do siebie na wieczór i zagrać razem z tobą duet Rubinsteina na skrzypce i wiolonczelę... Tyłko — zawahała się chwilę — czy mogę być szczerą?

— Proszę bardzo... Wszakże pani mnie zna dobrze, dawno... i raczysz chyba mnie uważać za swego prawdziwego przyjaciela.

— Tak, tak... — ścisnęła mnie za rękę — Otóż uskarżał się przedemną, że przy pierwszym poznaniu chciałeś go wyzyskać na korzyść jakiegoś młodego wiolonisty. Powtarzał kilkakrotnie: „wielki artysta, ale eksploatacja”.

Roześmiałem się, a hrabina zawtórowała mi swoim dźwięcznym, sympatycznym, srebrnym chichotem, w którym odbija się jej dusza czysta,

pełna prostoty, nieznająca udania i zręcznych wybiegów konwersacyjnych, jakimi wielkoświatowe damy pokrywają często swoje myśli.

— Zabawny... prawda?... a jaki skąpy... Boże zmiłuj się!... istny Harpagon... Stołuje się w jakiejś drugorzędnej restauracji, a na swoich wieczorkach każe obnosić tylko suche tartynki i herbatę... Także miałeś się do kogo udawać o pomoc!... O twoim młodym skrzypku pomówimy z panem Władysławem Kronenthallem... Za tego ci ręczę, że stara się, aby prawica nie wiedziała, co daje lewica; rozumie, że wielki majątek nakłada na ludzi wielkie obowiązki... Swoją drogą proszę cię bądź uprzejmym dla Icykowskiego. Zagraj nawet kiedyś u niego, jeśli cię o to poprosi... Doroczny koncert pański się zbliża, trzeba ze wszystkimi być dobrze drogi przyjacielu... A prawda... jeszcze jeden ważny powód!... byłabym na śmierć zapomniała... Księżna Marya, której nie znam dotąd, bo nigdy i nigdzie spotkać się z nią nie mogłam, ani w kraju, ani zagranicą, w tych dniach przyjeżdża do Warszawy; a ponieważ jego dziad, w linii prostej, był podobno ekonomem czy komisarzem u jej dziada, ona uznaje za właściwe protegować wnuka... Przez wdzię-

czność, czy przez złośliwość zawsze czyni zadość jego zaprosinom i nie szczędzi swej obecności na jego starokawalerskich rautach muzycznych... Sam mi o tem mówił... Musisz jej być przedstawionym, a on pana zaprezentuje... Księżna Marya jest dziś najmodniejszą kobietą w Europie. Mężczyźni schylają przed nią głowy jak dojrzałe kłosa przed wiatrem... W naturze jej jest coś wietrznego... Jeśli ją sobie zdobędziesz, ręczę za świetne powodzenie pańskiego koncertu.

Wypowiedziawszy to wszystko z błyskawiczną szybkością, nieoceniona hrabina Trzygwiazdki, wstała, ścisnęła mnie za rękę i wyszła do pani Erlangerowej, oczekującej na nią w ościennym buduarze.

Taki to los artystów!

Dlatego że mój koncert się zbliżał, dlatego że dziad księżnej Maryi był chlebobawcą dziada lcykowskiego, dlatego że księżna miała w naturze swej coś wietrznego, dlatego że... dlatego że... Aaa! — zawołał rozdąsany i gniewny wróbel z czubkiem — nie potrzebuję chyba wyliczać wam wszystkich nędz i błahostek zmuszających nas: dławidudów, miechodmuchiów i skrzypicielei do poniżania godności człowieka, do uginania czoła przed złotym cielecem.

W tydzień potem jechałem z wierną towarzyszką żywota na raut do pana radcy, wielkiego koniuszego, kawalera orderu słońca, wielkiego mistrza nosorożca ze wstęgą i gwiazdą... słowem do mego amatora.

I ja i wiolonczela moja — która po latach expiaci stała się nader czułą na każde poniżenie moralne — drżeliśmy i jęczeli w karecie jakby rozstrojeni... albo raczej... niedostrojeni do kamertonu dzisiejszych stosunków.

Kiedy wszedłem do salonu, towarzystwo już było zgromadzone.

Księżna Marya usłyszawszy moje nazwisko wymienione przez gospodarza, powstała żywo z siedzenia i zbliżyła się do mnie.

— Jaki? pan mnie sobie nie przypomina?... Jestem ową małą swawolną Marynią, która w Zalesiu ledwie panu nie rozłukła wiolonczelli chcąc na niej zagrać, kiedy pan rozmawiał z moją matką o polityce... Jak dziś to pamiętam... Cichaczem skradałam się do skrzyni wniesionej przez służącego do różowego saloniku... Odsunęłam haczyki, na które się zamykała, i objąwszy drobnymi wówczas rączkami wiolonczelę, wyciągnęłam ją na pokój...

Spojrzałem mimowolnie na ręce księżnej,
Z. Sarnecki. Nowelle.

były i teraz jeszcze małe jak u dziecka... a jakie śliczne!

— Szczeńciem dla pana, a nieszczęściem dla mnie — mówiła dalej — wiolonczela umie się skarżyć, kiedy ją dotykają niepowołane, samozwańcze dłonie... Jęknęła tak żałośnie, że się przełękłam... Mama i guwernantka przybiegły jej na ratunek, a ja dostałam po łapkach... Nie rozplakałam się jednakże, byłam bowiem dumna... dumniejsza może niż dzisiaj... chociaż ci panowie — spojrzała po czarnej, wyfraczonej, męskiej galerii — utrzymują, że jestem najdespotyczniejszą królową, jaką widzieli pod słońcem.

Głos jej wydawał mi się pieszczotliwy i dziwnie zarazem żałosny.

— Tyle już wody upłynęło od tego czasu, a jednak pana poznałam!... Siadajże pan przy mnie... Będziemy mówić o Zalesiu, o mojej ukochanej matce, o całej dziecinnej przeszłości, takiej uroczej, a tak dawno minionej... Jak mnie wtedy intrygowały pańskie długie, artystyczne blond włosy, dziś już bielejące... Nie masz mi pan czego zazdrościć i ja już siwieję... Patrz pan... tu... tu... cały pukiel srebrny... nad uchem.

I pokazała mi swoje uszko malutkie, jak łono

konchy perłowej różowe, przebite gwoździem dyamentowym, siejącym tęczowe blaski wokoło.

— Czy pan myśli, że nie pamiętam jego grania?... o! i jak jeszcze pamiętam! Echo wspomnień odbija się w moim umyśle... ale i w sercu także. Kiedy poraz pierwszy usłyszałam w teatrze „Hrabinę“ Moniuszki i poloneza Chorażego, łzy stanęły mi w oczach. Zwróciłam się do mojej matki i zawołałam: „To grał u nas w Zalesiu, ten wysoki, blady pan z długimi włosami!“ A mama uśmiechnęła się mówiąc: „Któremu o mało nie wypłatałaś bardzo niemiłego figla!“ ...Widzi pan, mam pamięć doskonałą.

Szczebiotała to wesoło, to rzęwnie, jak dawna, swawolna — ale i dobra — Marynia.

Wszyscy mi zazdrościli, a amator najbardziej.

Uprzejmość księżnej dla mnie irytowała go niepomału. Nie mogąc znieść tego dłużej, wezwał do fortepianu swego zwykłego akompaniatora — biedną ofiarę losu — chwycił za skrzypce i zagrał koncert Beriota.

Nie powiem żeby grał źle... nie; owszem znać było w jego wykonaniu studia, staranność, pracę, wykończenie... brakło tylko ducha, polotu, poezji, talentu. Popisywał się przed nami rzemieślnik-amator, a nie artysta.

Kiedy skończył, księżna Marya szepnęła ledwie od niechcenia: „brawo!“ Inni, niewolnicy jej kaprysu i woli, mruknęli „brawo“ jeszcze ciszszej, jeszcze chłodniej, i otoczywszy nas kołem dzielili się okruszynami uczty moralnej, jaką ich monarchini dla mnie zastawiła. O uraczeniu się materyalnem, mowy być nie mogło, lokaj bowiem amfitryona obniósł kilka filiżanek cienkiej herbaty, i — jakby na żart — trochę *petits-fourów*. Dworacy oczekiwali z niecierpliwością na chwilę, w której ich pani *wietrzna* opuści niegościnne progi, a oni będą mogli pójść do restauracyi na wieczerzę.

Dwie czy trzy damy, znajdujące się w salonie, należały do kategorii księżyców świecących cudzym blaskiem. Księżna była ich słońcem. Za zaszczyt należenia do jej dworu poświęciły chętnie swoją indywidualność. Były echem jej przekonań zmiennych, odbiciem szybko przemijających wrażeń i uniesień, kopią jej toalet, naśladowczyniami jej zachowania się i sposobu bycia. Upodobania jej stawały się ich upodobaniami bez dyskusyi i bez opozycji. Skoro zatem księżna Marya mnie знаła i uznała, wszystko i wszyscy — nie wyłączając wielkiego koniuszego, radcy nad radcami, księcia przez kobiety, z mitrą na

biletach wizytowych i kawalera wielu gwiazd i orderów — schodziło na plan drugi, a ja stawałem na pierwszym niepodzielnie.

Kto choć cokolwiek znał świat i ludzi, łatwo mógł odgadnąć i zrozumieć, że w tym domu, gdzie umiejętna i wprawna ręka przygotowała trybularze pełne kadzideł dla uczczenia arystokratycznego amatora, jakiś złośliwy a wszechwładny demon delikatnym podmuchem wonnego dymu od niego ku mnie zwracał. Stałem się bożyszczem salonu, punktem centralnym koła... jego zaś wyłączono zupełnie z admiracyjnego okręgu.

Icykowski pienieł się ze złości, chociaż starał się gniewu swego nie okazywać zbyt wyrażnie.

Po chwili przywołał znowu swego akompaniatora, ciche, nieszczęśliwe i potulne stworzenie. Przycisnął skrzypce do ramienia i zagrał menueta Mozarta.

I tym razem sukces nie był pomyślniejszym.

Księżna zauważyła półgłosem — tak jednak, że gospodarz mógł ją usłyszeć — iż Auer czy Górski grają utwór nieśmiertelnego twórcy „Don Juana“ daleko lepiej; poczem zwróciła się do mnie, prosząc, abym się dał usłyszeć.

Jakkolwiek spostrzegłem, że prośba ta nie

była Icykowakiemu przyjemną, że uczuł się nią, w zestawieniu z tem co poprzednio, niemile dotkniętym — uległość poddanego wzięła górę nad miłością własną amatorską, kazał służącemu przynieść wiolonczelę i sam nalegał, abym uczynił zadość żądaniu „uroczej księżnej Maryi“.

Jest jakaś siła tajemnicza w jawnem uznaniu dla artysty, jakaś potęga podnosząca i krzepiąca ducha, wzmacniająca i uszlachetniająca środki, jakimi rozporządza. Czując się otoczony życzliwością ogólną, chwyciłem za smyczek z zapalem. Nigdy może w życiu nie grałem poloneza Chorażego tak dobrze, tak wiernie, z takim przejęciem się wszystkimi intencjami Moniuszki.

Po pierwszych taktach zapomniałem już o zgromadzeniu, o Icykowskim, o księżnej, o damach jej dworu, o męskiej galeryi, o Bożym świecie całym.

W żalosnym, rzewnym, a tryumfalnym pochodzie, tak barwnie malowanym śliczną muzyką serdecznego polskiego mistrza, widziałem jak w mglistym obłoku postacie ułanów o twarzach ogorzałych, porysowanych szramami, kontuszowców o czołach błyszczących myślą i rozumem, dziewoje śliczne i skromne, matrony poważne, dzieci nawet, które tonami temi napełniały sobie

duszę na życie długie i smutne, aby nie zapomnieć o chwili radości, o chwili upojenia, o szczękach oręża, w których dźwięczało echo zwycięstwa i nadziei.

Kiedy skończyłem, czułem się zmęczony.

W salonie panowała cisza.

W oczach księżnej Maryi błyszczała łza, podobna do dużego dyamentu. Czar muzyki obudził w jej duszy wspomnienia szlachetnych uczuć, jakie gorzały niegdyś w Zalesiu silnym i świętym płomieniem.

Powstała i uściśnęła mi rękę.

Wtedy zagrzmiało brawo huczne, przeciągłe. Statyści i statystki pięknej królowej, bohaterki wieczoru, jakby na rozkaz uderzały i uderzali w dłonie, co tylko im sił starczyło. Ręczę, że nazajutrz rękawicznicy musieli mnie w duchu błogosławić.

Ale, ale nazajutrz...

Nazajutrz otrzymałem od Icykowskiego w kopercie bilet wizytowy z mitrą i następującemi wyrazami, napisanemi drżącą ręką po francusku:

„W imieniu wszystkich osób, które się u mnie znajdowały, dziękuję panu za to, że dałeś się słyszeć, grając na wiolonczeli, należącej niegdyś do

mego wujecznego dziadka, księcia Antoniego Koryatowicza“.

Wróbel z czupkiem uznał widocznie opowiadanie za skończone, bo odetchnął głęboko... i zamilkł.

Literatka z pazurkami zwalanemi atramentem wołała:

— Tylko tyle?!... ależ to być nie może!

Krtyk dodał:

— Kochany mistrz żartował sobie, opowiadając nam wypadek, stworzony przez jego bujną, artystyczną wyobraźnię.

— To wcale nieznana i zabawna inwencja — mruknął malarz, przebudzony znowu ogólnem poruszeniem „całej gotowalni do jejmości“.

— Pokaż nam *corpus delicti*, pokaż nam bilet — krzyczeli inni.

Wróbel z czubkiem sięgnął spokojnie prawą łapkę pod lewe skrzydełko i wydobył twardy kawał papieru.

Karta obeszczała z rąk do rąk całe zgromadzenie, a powieściopisarka przeczytała z niej głośno:

— „*C'est au nom de toutes les personnes, qui se sont trouvée chez moi, que je Vous remercie de Vous êtres fais entendre sur un violoncelle, qui*

a apartenu à mon grand oncle le prince Antoine Koryatowicz“.

— Oho! — mruknęła najpodejrzliwsza i najbardziej wątpiąca — widzę, że i francuzczyzna amatorska także!

Wróbla gromadka zaczęła świergotać tak wesoło, zabawnie i tak głośno, że obudziłem się... i spostrzegłem, iż usnąłem nad stolikiem.

Widocznie musiałem być znużony rautem u hrabiny *** i ploteczkami, jakie na nim opowiadano.

POWIEM MAMIE.

Pociąg wieczorny wyruszyć ma w drogę. Lokomotywa, tylko co z nim sprzągnięta, dysze i sapie. Zegar, jakby zakatarzony od mgły wilgotnej, unoszącej się bawełnianemi kłębami w powietrzu, bije godzinę głośno, ale chrypliwie, przeciągle; potem kwadranse ciszej, lecz żwawiej i dźwięczniej, dwoma uderzeniami na jeden. Naczelnik stacyi wychodzi ze swego biura. Czerwona jego czapka, nagle oświecona płomieniami latarni gazowych, pochyla się na bok z pewnym rodzajem fantazyi i pychy, jaką pono wszystkie czerwone czapki na świecie odznaczają się zwykły. Po przeciwnych końcach długiego peronu zabłysły dwa kaski dwóch żandarmów, równych, prostych i wysokich, jak katafalkowe gromnice. Dzwon zaklekotał... naprzód trajkotaniem nawalnym, podobnem do warczenia dziesięciu miedzianych kotłów muzyki tureckiej, akompaniowanej przez tyleż bębnów polskiej, chłopskiej orkiestry. Później jęknął powoli: raz, dwa, trzy... i zamilkł,

szarpnięty za mosiężne serce i zatrzymany w rozmachu wprawna dłonią mistrza, umiejącego wydobywać ze spiżu właściwą intradę do parowej symfonii.

Troje oszklonych drzwi dworca otwarło się równocześnie.

Z salonu pierwszej klasy wysunęło się spokojnie kilka osób, pewnych, że administracja kolei ceni je za nadto, aby nie miała pomyśleć o zabezpieczeniu wszelkiego komfortu dla tak dystygowanych pasażerów. Postępowały więc poważnie, z flegmą, bo nie potrzebowały się śpieszyć jak średniaki i plebs pospolity. Z drugiej — już trochę zwawiej — wyszło kilkunastu podróżnych, rozglądając się, gdzieby to, bez interwencji służbowych organów administracji, usadowić się najwygodniej, aby noc jesienna, chłodna i mglista, nie wydała się zbyt długą. Ostatnia sala z kolei, przed otworzeniem drzwi wypchana jak pruska kiszka grochem, po rozwarciu podwoi wypłuła na asfaltową platformę hurmę żydów i mnóstwo obdartego tałatajstwa, cisnącego się, popychającego, wrzeszczącego i szturmem zdobywającego twarde, drewniane ławki wagonów trzeciej klasy, byle usiąść i pojechać, gdzie bieda lub konieczność każe.

Peron przed chwilą pusty, cichy, gładki, zaledwie urozmaicony czerwoną czapką naczelnika stacyi i kaskami żandarmów — jak żółte pole kwitnącym makiem i koleczastymi szyszkami ostu, które sierp ominął — teraz ożywił się, zaroił, zaszumiał. Głowy rozmaicie przykryte, falowały nad nim, niby bałwany morskie. Na falach tych widać było ciągle czapkę czerwoną, płynącą raz na prawo, drugi raz na lewo i dwa sterczące, nieruchome chełmy, rozrzucające wkoło blaski, jak reflektory.

Kiedy wagony trzeciej klasy pochłonęły już swoją pastwę, zrobiło się ciszej i przestronniej. Jedynie nieliczni, spóźnieni pasażerowie, gonia jeszcze po platformie za konduktorem, który — jak błyskawica — tylko się miga wzdłuż pociągu. Uchwycić go prawie niepodobna, tak się uwija, jakby od tego biegania zawisł los kraju, a przynajmniej byt i przyszłość akcyonaryuszów Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

— Panie konduktorze! — wołała młoda i ładna osoba, w długiem palcie, podbitem futrem, a jednak opinajacem zgrabnie jej wiotką kibić. — Panie konduktorze! proszę się zatrzymać.

— Co pani sobie życzy?.. Pewno wagon dla niepalących? — pyta ruchliwy czynnik admini-

stracy kolejowej, ale leci ciągle, jak zbrodniarz gnany czarnymi wyrzutami sumienia.

— Nie, przedział dla dam...

— Pierwsza, druga, czy trzecia? — pyta i pędzi dalej.

— Druga.

— Proszę.

Zatrzymał się chwilę, bo musiał klucz wydobyć, aby zamknięte drzwiczki otworzyć.

— Będzie się pani dobrze spało... Szczerliwie się trafia; nie ma nikogo więcej.

To rzekłszy, zdwojonym krokiem sunie na czoło pociągu, aby natychmiast z jednaką szybkością powrócić tam, gdzie kończy się szereg, w drogę ku granicy wyruszyć mających wagonów.

Młoda osoba, po złożeniu na siatce torby podróżnej, koca i malutkiej walizki — podanych przez posługacza — siada przy oknie i patrzy.

Na platformie prawie pusto.

Pan naczelnik stacyi w czerwonej czapce — znużony przechadzką — zatrzymuje się w pośrodku peronu. Otacza go wnet sztab innych, mniej jaskrawych, podwładnych czapek, kaszkietów i kepi. Chelmy żandarmskie okazują także pewną skłonność zbliżenia się do siebie. Drgnęły i posunęły się o kilka łokci jeden ku drugiemu. Dzwon kle-

kocze znowu. Potrójny jęk, wydobyty ze spiżu umiejętnem szarpnięciem mosiężnego serca, jeszcze nie przebrzmiał, kiedy przed przedziałem dla dam stanęła zdyszana, widocznie tylko co z miasta przybyła zachwycająca para.

On był wysoki, dwudziestokilkoletni brunet, o oczach czarnych, płomiennych, z wyrazem stanowczości i energii w spojrzeniu, o cerze śniadawej i ustach, jakby pomalowanych karminem, nad którymi czernił się w górę podkręcony, lśniący wąsik młodzieńczy. Słowem, bardzo ładny chłopiec, ale zarazem i piękny mężczyzna, bo odgadnąć było łatwo, że to nie laleczka, że ma wolę i chce, aby go słuchano.

Ona była prześliczna. Krótko ostrzyżone blond włosy, w skręconych, wijących się pierścieniach wyzierały z pod bobrowej czapeczki, skromnie i przyzwoicie, a jednak zuchowato i zalotnie na czoło nasuniętej. Wielkie jej niebieskie źrenice pływały w podłużnej oprawie, obramowanej od dołu i przy powiece gęstymi — ciemniejszymi od włosów — rzęsami. Białą, ściągłą, a jednak pulchną buzię krasily rumieńce barwy centofolii ciepłarnianej. Koło ust — niemal za każdym poruszeniem — żłobiły się dwa rozkoszne dołeczki. Nosek nieco garbaty, ale przytem niezmiernie kształ-

tny, nachylał się lekko nad drżącymi od tajonego wzruszenia wargami. Te ostatnie — trochę grube i naprzd podane — zdawały się świadczyć o żywym temperamencie i o dumie wrodzonej. Cała postać tętnęła młodością i wdziękiem, pełnym zachwycającej prostoty. Płaszcz długi i szeroki, podszyty popielicami i objęty przy szyi małym, stojącym bobrowym kołnierzem, okrywał to urocze stworzenie, wzrostu więcej niż średniego, zbudowane zgrabnie i wyglądające prędzej na panienkę, niż na mężatkę.

On szeptał jej coś do ucha — ona milczała.

Siedząca w wagonie młoda osoba przypatrywała się obojgu z ciekawością. W spojrzeniu, którem śledziła każdy wyraz ich twarzy, znać było badanie, wnioskowanie, obserwację.

Dzwon zaklekotał po raz trzeci i trzykrotnie jęknął tryumfalnie, silnie szarpnięty ręką, władającą sercem mosiężnem po mistrzowsku.

Wtedy mężczyzna położył w damskim „cou-pé“ pled angielski i walizkę swojej towarzyszki, mówiąc:

— No, powiedz mi teraz grzecznie „do widzenia“ i siadaj.

Ona nie odrzekła ani słówka, tylko nagle... usta ich spotkały się w gorącym, długim, prze-

ciągłym pocałunku; potem — jakaś nadąsana czy zadumana i wciąż milcząca — wsiadła do wagonu. On za nią drzwiczki zamknął i krzyknął jeszcze do okna:

— A pisz zaraz!

Lokomotywa gwiznęła przeraźliwie. Koła pociągu zaskrzypiały, poruszyły się z miejsca i potoczyły żywo po szynach, unosząc szereg łańcuchami związanych z sobą wozów w przestrzeń, kłębiącą się mgłą białą, podobną do ogromnego arkusza waty, rozsnuwającego się to w gęstsze, to w przejrzystsze pasma i chmurki, na wilgotnem powietrzu jesiennej nocy.

Z przed oczu dwóch młodych kobiet — siedzących naprzeciwko siebie — znikł peron z interesującym, pięknym brunetem, z naczelnikiem stacyi w czerwonej, pysznie na bok przechylonej czapce i z kaskami żandarmów, błyszczącymi w świetle gazowem.

Pozostały same... zupełnie sobie obce, nieznajome.

Zaległa cisza, towarzysząca prawie zawsze pierwszej chwili podróży, rozpoczynającej się wieczorem.

Osóbka wcześniej przybyła i wyglądająca na obserwatorkę, drobna, szczupła — jak to już, zdaje

się powiedzieliśmy wyżej, bardzo ładna — brunetka, z krótko uciętymi włosami, wijącemi się także w pierścienie nad czołem i wokół głowy, pod całem rondem ładnego *à la Henri II* kapelusika, spoglądając z zajęciem na blondynkę, myślała w duchu:

— Jaki też głos mieć może ta śliczna istota?

Bo kobieta, jak ptaszek, żeby nie wiem jak była piękną, nie będzie nią w zupełności, jeśli nie posiada melodyjnego głosu.

Milczenie trwało dość długo.

Przerwała je wreszcie brunetka.

— Gdyby pani życzyła sobie położyć się i zasnąć, to możemy przyćmić światło zbyt rażące.

To mówiąc powstała, aby lampę, wprawioną w sufit wagonu, zakryć zieloną ombrelką, w tym celu tam przytwierdzoną.

— O! ja spać nie będę! — odparła szybko blondynka z westchnieniem, jak gdyby ze snu ciężkiego przebudzona.

I spostrzegłszy się, że odpowiedź jej nagła nie brzmiała dość grzecznie, dodała z wielką uprzejmością:

— Ale może pani pragnie spocząć. Proszę na mnie nie zważać... bardzo proszę.

Głosik jej mezzosopranowy, miękki, ciepły,

mile pieścił ucho. Dźwięk jego wywołał uśmiech zadowolenia na ustach stojącej i ciekawie przypatrującej się twarzyczce towarzyszki podróży, oświeconej teraz z góry jasnym płomieniem lampy.

W jednej chwili, jakby pod wpływem jakiegoś magnetycznego wstrząśnienia, lody nieznajomości pękły. Obie uczuły się przyciągane do siebie wzajemną sympatyą, a nie zdając sobie z niej sprawy, uległy jej jednak zupełnie. Rozmowa zawiązała się wnet i potoczyła dość płynnie, chociaż dotykała przedmiotu widocznie drażliwego dla młodszej.

Młodszą była blondynka.

— Pierwszy raz w życiu jadę sama — mówiła trochę zakłopotana.

— I mąż zgodził się na to?

— Prawda... prawda, że nie powinien był się zgodzić? — zapytała z tłumionem drżeniem głosu.

— To zależy... Ja, powiem szczerze, że na jego miejscu, nie opuściłabym takiego skarbu ani na chwilę.

— Pani zbyt łaskawa -- rzekła zarumieniona, spuszczać oczy. — Jutro będzie dopiero

cztery tygodnie jak pobraliśmy się w Krakowie, w kościele Panny Maryi...

— A!... cztery tygodnie tylko!

— Prawda, że to nie dawno?!... Zaraz po ślubie pojechaliśmy na wieś w Królestwie, do krewnych... gdzie spędziliśmy dni piętnaście... Potem udaliśmy się do Warszawy. Tam bawiłam się doskonale... Prawie co wieczór chodziliśmy do teatru... zwiedzaliśmy miasto, okolice, Wilanów... Czas nam tak mile schodził... ale trzeba było pomyśleć o ulokowaniu się gdzieś stale...

— O gniazdeczku...

— Tak, o gniazdeczku — powtórzyła wyraz ten z naiwną prostotą. — Mój mąż skończył szkołę handlową zagranicą. Jest bardzo... bardzo zdolny... Wszyscy mówią, że posiada rozległe wiadomości... Myślał zatem otworzyć w Warszawie wielki skład... wielki magazyn wyrobów... doprawdy nie wiem... jakiegoś nowego przemysłu...

— Pani zaś, zajęta tylko mężem, zapomniałaś o jaki przemysł mu chodzi.

— Tak, niezawodnie — paplała teraz z roztargnieniem — dość, że na żadnej z pierwszo-

rzędnych ulic nie można było znaleźć odpowiedniego sklepu do wynajęcia, więc...

— Więc?

— Więc mamy się osiedlić w Lublinie, gdzie ojciec Karola przyjmuje go do wspólni w jakimś korzystnym interesie, który sam dotąd prowadził. Dlatego też mąż mój wyprawił mnie do Krakowa, do mateczki... a sam kolejną Nadwiślańską pojedzie dziś jeszcze do Lublina nająć dla nas mieszkanie, urządzić je, umeblować...

— Bez pani?

— Prawda, że to źle z jego strony?!... Mnieby tak bawiło razem z nim wszystkim się zająć, kupować, ustawiać... To taka rozkosz!... Ale on utrzymuje, że będzie lepiej, jak przyjadę na gotowe, że się nie zmęcę... Dziś rano jeszcze nie myślałam, że mnie wyprawi do Krakowa, bo chociaż dawno już uprojektował ten wyjazd... miałam nadzieję... — głos jej obniżał się i cichł niekiedy jakby wewnętrzne łkanie go łamało — miałam nadzieję, że w ostatniej chwili zbraknie mu do tego odwagi.

— Ależ trzeba było śmiało powiedzieć, że pani woli udać się z nim do Lublina.

— O! nie... za dumna jestem na to. Pomyslałby może, iż mu się narzucam.

Szczerość niemal dziecinna, z jaką spowiadała się przed nieznajomą, a zarazem pewnie niedopowiadanie wynurzeń, nagle i mimowolnie wybiegających na jej usta, jeszcze bardziej zainteresowały obserwatorkę, która niby od niechceenia rzucanemi półsłówkami i pytaniami wydobywała z duszy i główki czterotygodniowej mężateczki najskrytsze tajniki jej uczuć, jej domysłów i rozumowań, zdradzanych więcej tonem wyrazów, aniżeli samemi wyrazami.

Ciekawość zaś badającej wolną się zdawała od zbytnej niedelikatności, czuć jednak w niej było — że tak powiem — autorstwo, to jest rzemiosło, polegające na studyowaniu ludzi wszędzie i o każdej porze, na obnażaniu ran bolących i dotykaniu ich skalpelem analizy. Ręczę, że gdyby zdjęła rękawiczki, opinające jej zgrabne rączki, znaleźlibyśmy na jej paluszkach plamy od atramentu.

— Prawda, że to źle, iż mnie nie wziął z sobą? — szeptała znowu smutnie blondynka.

— Czy go pani bardzo kocha? — zapytaniem odpowiedziała na zapytanie towarzyszka podróży.

— O! bardzo!... On dla mnie taki dobry!

— I piękny — dorzuciła z lekkim odcieniem

ironii brunetka — bo jak się domyślam, to mąż panią odprowadzał.

— Prawda, że piękny? — zawołała.

W chmurnym i mglistym dotąd jej wzroku zapalił się nagle snop promieni radosnego uniesienia i miłości gorącej.

— Pokażę pani naszą fotografię.

Sięgnęła ręką po malutką walizkę i otworzywszy kluczykiem mosiężny zameczek, wydobyla z niej albumowego formatu kartkę, na której dwie śliczne głowy — wiernie *à fond perdu* odfotografowane — stanowiły istotnie zachwycający obrazek.

— Obojeście tu państwo bardzo ładni.

— Pani zbyt łaskawa.

Spuściła oczy skromnie i dodała znowu z niepokojem:

— O! ja się tak lękam... tak lękam...

— Czego?

— Że Karol sam pozostał w Warszawie. Nie ma pani pojęcia, jak kobiety warszawskie są bezwstydne i beczelne. Kiedy chodziliśmy po ulicach pod rękę, patrzyły na niego tak okropnie... tak okropnie... takim wyzywającym wzrokiem...

— Czy być może?

— A nawet go zaczepiały, chociaż byłam z nim razem i zasłaniałam go od ich spojrzeń. Cóż to będzie teraz, kiedy sam pozostał?

— Przecież dziś jeszcze jedzie do Lublina.

— Tak — westchnęła — ale czy pojedzie!

Żmija zazdrości ssła krew z biednego serduszka.

— Wiem co zrobię — dodała po chwilowym namyśle — jak tylko przyjadę do domu, do Krakowa, zaraz do Lublina zatelegrafuję z odpowiednią zapłaconą... Jeśli już jest, to otelegrafuje natychmiast.

Uśmiechnęła się do swojej myśli i do nadziei otrzymania od męża rychłych wiadomości.

— A jeśli go nie ma? — wycedziła z wolna, uważnie przypatrująca się jej obserwatorce, ze skrzywieniem prawie demonicznym w ustach.

O! bo te panie piszące, zwykle mało wierzą mężczyznom, a zaufanie żon często im solą w oku. W życiu — jak wszyscy — spotykają się z rozczarowaniem i zawodami. Cierpienia swe przefiltrowały na eliksyr pesymizmu, w mniemaniu, że przez frykcyonowanie tym eliksirem wycieńczonego organizmu społecznego, sprawią mu taką ulgę, jaką ich matki sprawiały istotnie, rzeczy-

wicie, fizycznie chorym, nacierając ich ciało mrówczanym lub kamforowym spirytusem.

— Ach! jeśli go nie ma! — powtórzyła jak echo blondynka.

Zbladła i zamilkła.

Widocznie panowała nad sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem, bo duma wrodzona nie pozwalała jej, wobec nieznajomej, choćby jedną łzę uronić.

Udręczenie, malujące się na białej twarzyczce, rozbroiło jej towarzyszkę, bo ściskając ją za rękę, rzekła:

— No, no... nie ma obawy...

— Zobaczę się jutro z mamą i pomówię z nią o wszystkim — szepnęła, rozpogadzając nieco czoło. — Bardzo się cieszę, że się z matką zobaczę... Ona mnie tak kocha!

— Rozpieściła dziecko.

— Bo jestem jedynaczką. Nie uwierzy pani, jaka mama dla mnie dobra... jak jej przykro było ze mną się rozstawać. Jeśli mnie za mąż wydała, to tylko dla mego szczęścia!

— To też pani jesteś szczęśliwą.

— Bardzo... tylko się obawiam o przyszłość... Bo prawda, że Karol powinien był zabrać mnie z sobą do Lublina?

Wracała wciąż do jedyne go powodu swego rozżalenia.

— Jaby m mu w interesach nie przeszkadzała — ciągnęła dalej. Ale on taki uparty... ma taką władzę nademną i silną wolę... Jak coś postanowi, to, żeby nie wiem co się stać miało, na swoim postawić musi... Zdaje mi się, że gdybym nie zrobiła czego pragnie, go-tówby mi rozkazać.

— A pani, nawet w takim razie, usłuchałaby despoty?

— Usłuchałabym. Wolę uleść, nie czekając na rozkaz, któryby mnie upokorzył.

Po chwili zapytała znowu:

— Jak pani sądzi, czy on dziś pojedzie?

— O! doprawdy, nie wiem — rzekła brunetka, której ta rozmowa ciążyła już trochę.

— Ach! te Warszawianki!

— Tak się pani ich boi?

— Boję się — szepnęła.

Biedne stworzenie spostrzegło, że jest za szczere, ale mimowiedna sympatya do towarzyski podróży otwierała jej ciągle usta.

Sympatyę tę podzielała i towarzyska... tylko wyrażała ją inaczej, chociaż także mimowoli.

— Jak długo pani zabawi u mamy?... — zapytała.

— Mam pozostać ośm do dziesięciu dni. Mąż mnie zawiadomi listownie, że wszystko załatwił, urządził... i wtedy zawezwie.

— A pani pośpieszy na wezwanie?

— Naturalnie.

— Otóż właśnie, że nie uważam tego za rzecz naturalną. Czy wie pani, co uczyniłabym na jej miejscu?... Czy mam szczerze powiedzieć?

— Proszę.

— Pozostałabym w Krakowie miesiąc, dwa, trzy... całe pół roku nawet... żeby go ukarać... żeby...

Blondynka spojrzała na nią zdziwiona i przeżona swymi dużymi niebieskimi oczami, pływającymi we łzach, powstrzymywanych pod powieką, ale odpowiedziała:

— Tak też pewno zrobię.

Ton jednak, jakim wymówiła te wyrazy, był tak miękki, tak pełen wahania, że bystra obserwatorka zrozumiała, iż na nic się nie przyda buntować to kochające serduszko.

A może czuła niestosowność swojej rady... może przykro jej było, że obudziła i rozdrażniła nieufność w tak prostej i szlachetnej duszy!...

Dość, że ze wzruszeniem i litością szczerą rzekła teraz:

— No, niech się pani o męża nie lęka i nie zważa na to, co powiedziałam... On do Lublina prawdopodobnie pojechał... dom ładnie urządził... i wkrótce żoneczkę śliczną do siebie powoła... Zresztą pomówisz o tem wszystkim z mamą. Serce matki na ból chwilowy znajdzie pewno najlepsze i najskuteczniejsze lekarstwo.

Zatrzymanie się pociągu na granicy dla zawizowania paszportów, potem w Szczakowie dla rewizyi bagaży, przerwało rozmowę.

Kiedy po załatwieniu wszystkich formalności paszportowych i cłowych znalazły się obie — znowu same — w damskim przedziale, brunetka uczuła się zmęczoną.

— Teraz prześpiemy się trochę... Nieprawdaż?

— Niech pani spocznie... ja spać nie mogę.

Ale młodość i znużenie wzięły górę nad rozdrażnieniem.

W kwadrans potem, jedna — z główką opartą na kocu puszystym, zwiniętym w kształcie poduszki — usnęła spokojnie, głęboko, cicho... druga broniła się czas jakiś ogarniającej ją senności, ale w końcu uległa. Czapeczka bobrowa

zsunęła się z jej płowych włosów, wijących się w pierścienie nad jasnem czołem.

Płaszcz popielicami podbity — uchylając się trochę — odkrył talię zgrabną i łono mocno bijące w opięciu skromnej sukienki...

Rączki podnosiły się chwilami w górę, jakby je składała do modlitwy, potem kurczyły nerwowo i opadały, zwieszając bezwładnie...

Nawpół przymknięte powieki, o gęstych rzęsach, zdawały się powstrzymywać łzy do ócz się cisnące.

W piersi odzywało się ciche i tłumione łkanie. Dziwnie piękną była w śnie przykrym i niespokojnym ta... ledwie nie dziewica, a tylko co kobieta.

Lokomotywa gwizdała przeciągle, zapowiadając rychłe przybycie do celu podróży.

Brunetka pierwsza zbudziła się i zerwała na równe nogi.

— To Kraków! — zawołała.

Blondynka otworzyła niebieskie oczy.

— A! — westchnęła — już!

— Pani spała!

— Nie wiem... nie wiem czy to był sen, czy dalszy ciąg moich myśli.

Pociąg wbiegł przed peron krakowskiego dworca.

Wtedy dłonie ich splotły się w sympatycznym, serdecznym uścisku, a młodsza szepnęła:

— Powiem mamie... O! wszystko powiem mamie!



N A S T K A.



Nastka była piękna jak rusalka, ale, choć piękna i dobra, bardzo biedna i głupia dziewczyna.

Brat Joachim — który całą ojcowiznę po śmierci rodziców zabrał — trzymał ją niby na łaskawym chlebie, ale za ów gorzki chleb łaskawy płaciła ona pracą od świtu do wieczora w chacie, w polu, w oborze i na toku. Nie dość na tem. Kiedy za zarobkiem szła na pańskie lub do cegielni, to z dwudziestu centów połowę oddawała bratowej na sól i okrasę, a szóstkę tylko zostawiała sobie na korale, na gorset i żółte buty, boć przecie trzeba będzie kiedyś wydać się za mąż i mieć jakie-takie wiano, a jeśli nie wiano, to choć wyprawę.

Nieraz bywało za dziesięć *grajcarów* cały dzionek Boży się namęczy, że aż ją kości bołą i cała niedomaga.

To układa tysiącami surową cegłę na piasku przed szopą, to żnie żyto na zagonie w upał siarczysty, to noc całą brodzi po pas w stawie i łowi

raki do dworu. A łapać raki to rzecz nie wesoła, bo woda zimna i nie jeden czarny złośnik utnie szczypcami w rękę, kiedy człowiek chwytą go w norze, pod brzegiem. Zaraz krew z ciała popłynie, krew, która utrzymuje życie i lica krasnym zdobi rumieńcem.

Oj! ten rumieniec na śniadej twarzy i oczy iskrzące, choć czarne i brewka w łuk wygięta nad powieką... jakby wypisana węglem... wabiły chłopców; ale Nastka była cnotliwa dziewczyna, strzegła zatem wianuszka, nie chcąc go oddać, ino temu, którego pokocha i z którym dłoń w dłoń stanie w cerkiewce przed ikonostasem.

Dotąd serce jej jeszcze nie przemówiło, ani zabiło mocniej, chociaż wiedziała z baśni i skazek, że królewicze nawet kochali się w takich, jak ona, ślicznych dziewczynach i że kochać rzecz ludzka, przez zakon Boży nie zabroniona.

Raz i drugi zachodzili swaty, ale brat i bratowa przyjąć ich do izby nie chcieli, bo nie pilno im było wypuścić Nastkę, pracującą dla swoich, ile tylko sił starczyło.

Nastka także się nie śpieszyła. Wciąż się jej zdawało, że najprzód potrzeba poznać, polubić, a dopiero później braterstwu do nóg się rzucić

i iść do ojca duchownego prosić o zapowiedzi i błogosławieństwo. Głupia myślała sobie w duchu:

— Jak polubię i poślubię, toż to będę kochać i pracować dla miłego, od świtu do nocy i z wieczora do ranka.

Nadto rozważała:

— Jakże się wydać, kiedy na przyodziewek i korale ubierałam dotąd ino trzy reńskie w srebrze i pięć szóstek!

Pewnego dnia — tak jakoś przed zachodem — zaszedł do chaty człowiek już wiekowy, strasznie brzydki — aż się w oczach ćmiło taki brzydki — łysy, o twarzy pomarszczonej, żółtej, o kosem spojrzeniu, kulejący na prawą nogę, pochylony, chociaż z ruchów swobodnych i zachowania się znać było, że z niejednego pieca chleb jadał i przebywać musiał gdzieś na dworach, lub w wielkiem mieście.

Ubrany był z pańska, w surdut i kamizelkę ze świecącymi guzami, chociaż odzież jego, poplamiona i brudna, budziła odrazę.

Była to niedziela... Braterstwo poszli na jarmark do Żółkwi... Nastka sama jedna pozostała w chacie.

Wchodzącego do izby powitała słowem Bożem, wskazując mu miejsce do spoczynku pod

obrazami świętymi, za stołem, przykrytym lniwym obrusem, przy półkach, na których błyszczały miski różnobarwną polewą.

Sama usiadła na dużym kufrze żółtym, malowanym w czerwone kwiaty.

— A z kąd wy?

— Ze Lwowa.

— A jak was zowią?

— Eliasza.

— Czy znacie mego brata Joachima?

— Znam i do niego właśnie przyszedłem po interesie.

— Po jakim, jeśli wolno spytać?

— Należy mi się od niego dziesięć reńskich z dawności... bo byłem tu przed dwudziestu laty kucharzem we dworze... Tera owdowiałem... żona zmarła... Dwóch dorosłych chłopców trza oddać do terminu... Ot! bieda i kłopot!

To mówiąc, stary wpatrywał się w Nastkę z upodobaniem, a dziewczyna pod jego wzrokiem kraśniała, jak piwonia w sadzie i spuszczała w ziemię oczy.

Nadeszli wreszcie braterstwo.

Nastka pozostawiła ich w chacie z gościem, sama zaś wybiegła przed wrota, oparła się o płot żerdziany, z po za którego słoneczniki wychy-

lały ciekawie żółte, szerokie twarze. . i roila o przyszłej doli, szczęściu, weselu, koralach, o ładnym chłopcu na męża, co ją mocno polubi, a będzie na licu gładki i jasny, jak to słoneczko, zanurzające się w stawie, a wesoly i miły, jak jaskółki, przelatujące nad powierzchnią błękitnej wody.

Po chwili Eliasza wyszedł, a za nim brat i bratowa. Kiedy mijał dziewczynę, wziął ją pod brode i rzekł:

— Do zobaczenia, jagódko!

Nastce jakoś smutno zrobiło się na sercu, chociaż nie wiedziała dla czego i szepnęła:

— Do widzenia.

W następną niedzielę w chacie panował ruch niemały.

Eliasza przyjechał z rana i przywiózł na wozie zabitego wieprza. Brat i bratowa znieśli go wraz z gościem do chłodnego lochu... Potem przyszli jacyś ludzie z kołaczami i wódką i siedli za stołem.

Joachim wywołał Nastkę z komory. Skoro wyszła do świetlicy skromnie odziana, ale cudna jak obrazek, obcy ludzie przepili do niej starym obyczajem i podali jej szklanny kieliszek, nalany po brzegi. Dziewczyna — choć się wstydziła,

choć oczy zasłaniała perkalowym fartuszkiem — wypięła do dna. Na to wszedł stary brzyda i objąwszy za szyję, chciał pocałować... ale Nastka odepchnęła go, mówiąc:

— Idźcie sobie... ja nie lubię takiej swawoli.

A on wtedy:

— Tażeś już moja... to nasze zrękowiny... a za trzy tygodnie ojciec duchowny pobłogosławi nasz związek.

— Co mówicie? — krzyknęła dziewczyna — Joachimie!... powiedzcie... czy oni prawdę mówią?

— A juści... prawdę — odparł brat, racząc się wódką ze swatami.

— Kiedy ja nie chcę... i nie zezwoliłam.

— Nie chcesz?!.. to zwróć Eliaszkowi za wieprza, wódkę, kołacz, podwodę i fatygę...

— I to co mi się z dawności należy — dorzucił stary.

— A ileż to wszystko razem wyniesie? — pyta Nastka drżącym głosem.

— Ho! ze trzydzieści papierków!

— Może i więcej... — rzekł Eliaz.

Dziewczyna chwyciła się za głowę, umajoną kwieciami różnobarwnymi.

— Oj! doloż moja, dolo!... Zkąd ja biedna sierota wezmę tyle pieniędzy!

Wpadła do komory... wyniosła krwawy swój zarobek, zawinięty w szmatę.

— Weźcie... proszę... ja resztę zbiorę powoli... oddam... co do gracara oddam...

— Albo wszystko zaraz, albo musisz być moja.

I stało się podług woli Eliasza, Joachima i bratowej, których *pan młody* z długu dawnego skwitował.

Nastka lamentowała, płakała, czołem biła o ściany, rwała włosy ze ślicznej głowy... nie na wiele to się jej jednak przydało, kiedy bowiem wyszła trzecia zapowiedź, ojciec duchowny związał ją na życie całe z niemiłym starym... Została *panią Eliaszową*.

Po ślubie przeniosła się do Lwowa, gdzie mąż jej jest stróżem kamienicznym, w ładnym pałacu przy ulicy Wałowej.

Zawsze piękna i cnotliwa, pracuje od świtu do zmroku, bo Eliaz dnie całe przepędza w szyneczku, a synkowie z pierwszego małżeństwa — urwisze jakich mało — jeśli kiedy zjawia się u macochy, to aby ją obedrzeć z ostatniego centa i przepić grosz wydarty z dobrymi koleżkami.

Możnaby grubą książkę napisać o tej biednej i głupiej kobiecie, wbrew woli za mąż wydanej, poniewieranej, nieszczęśliwej... dlatego, że nie miała czem zapłacić za zabitego wieprza... ale któż tam ciekawy losów i dziejów prostej niewiasty bez ustanku pracującej... nie dla siebie.

SIELANKA.

Wieczór był cichy.

Szeroka, poszarpana dziwacznie smuga czerwoności krwawiła zachodni skraj widnokregu. Powyżej — lazur nieba topił się w szafir i w granat przemieniał. Słońce z głębin, w której znikło rzucało ostatnie promienie na szczyty sosen boru, kładąc na zielonych koronach wyniosłych drzew ciepłe pocałunki zwolna gasnącego światła. Dołem — zmrok mgłą wilgotną pokrywał łąn pszenicy, aż do kłosów dojrzewających, lekko ku ziemi pochylonych. Powietrze po dniu upalnym ochłodziło się nagle.

Na miedzy stało dwoje dzieci.

Chłopiec miał włosy jak len białe i oczy błękitne. Dziewczynka główkę czarną, kędzierzawą i oczęta czarne, zamglone, jak cienie owego wieczora, który zastał ich w polu i tajemniczym swym urokiem przejął do głębi, chociaż nie zdawali i zdawać sobie nie mogli sprawy, ani z tej ciszy, ani z blasków zawieszonych w górze na

wierzchołkach choin rosochatych, ani z szarości jaka ich ogarniała, spływając wraz z rosą na pochylone kłosa pszenicy i wyzierające z pośród nich modre bławatki — ani z tęsknoty, która wkradała się do dusz dziecięcych, rozstrojonych cudną, wieczorną harmonią przyrody. Grała ją natura cichuteńko, budząc nieznane drżenia w małych serduszkach.

Wziąwszy się za ręce wyszli z miedzy i siedli na murawie, która — przy wyżłobionych kółami wybojach — gęstym porostem bramowała z jednej strony wązką wśród zbóż drożynę, z drugiej niwę pszeniczną. Milczeli; — bezwiednie wzruszeni, rozmarzeni, smutni, w tej ciszy nieprzerywanej nawet najłżejszym wiatru podmuchem.

Nagle pierś dziewczynki poruszyła się jakby łkaniem wezbrana, buzia się rozwarła — i zaśpiewała. Chłopiec trzymający w ogorzałych rękach ligawkę pastuszą słuchał jej z zachwytem. Kiedy głosik szklanny dziewczęcia ucichł z ostatniem przeciągłem: „dana, oj! dana“, odbitem przeciąglej jeszcze przez echo ciemnego boru, gdzieś pomiędzy odartymi z kory, wysmukłymi pniami sosen; — chłopczyzna podniósł do warg piszczalkę i puścił w ruch po niej żywo palce.

Chciał z prostaczego instrumentu wydobyć melodję śpiewaną przed chwilą przez dziewczynkę... Ale napróżno. Tony łamały się, zgrzytały, rwały i zamierały — głuche, chrypliwe, niezgodne. Fletnia wieśniacza słowiczego trelu piersi dziecięcej powtórzyć nie była w mocy.

Wtedy ona wzięła w paluszki, zsiniałe od wieczornego chłodu, fujarkę wierzbową, przycisnęła ją do usteczek bladych, a pod jej technieniem, posłuszne drewno zaśpiewało jak boska ptaszyna. A kiedy złożyła piszczalkę na kolanach, rumieńcem nagłym oblana i znużona graniem, echo ukryte w lesie pieśń jej cichutko grało dalej.

Chłopak pochwycił znowu flecik. Usta przytknął tam, gdzie jej buzia rozgrzała wierzbinę... i o dziwo!... ligawka zadzwoniła wiernie melodję dziewczęcia — silniej tylko, donośniej i goręcej. Echo — nieproszony akompaniator — zawtórowało przez teryce, ledwie zdążając za szybkimi, czystymi, pełnemi tonami, płynąciami po rosie, między zbożem zgietem ciężarem kłosów, aż po odarte z kory pnie sosen wyniosłych.

Widocznie dziewczynka tchnęła w fletnię duszę własną.

83338

89 690



SPIS RZECZY.

	Str.
Stasia	1
Drugie dziecko	87
Wróble.	125
Powiem mamie	155
Nastka.	177
Sielanka	187
